

Łódź, w jakiej żyjemy

ZWM

Pamiętam dobrze ów styczniowy dzień 1945 roku, gdy po pięciu latach tułania się w podwarszawskich miejscowościach, wróciłem do Łodzi, do swego rodzinnego miasta i znalazłem się na jego zaśmieconych ulicach. Pamiętam chwilę powrotu do naszego przedwojennego mieszkania, pamiętam swoje własne myśli z tego okresu, człowieka rozpoczynającego szesnasty rok życia, kroczącego do tego domu po ulicach obwieszonych czerwonymi i biało-czerwonymi flagami. Pamiętam chłopca z czerwoną opaską na ramieniu i z karabinem przewieszonym przez ramię; ten chłopiec — już nazajutrz po moim powrocie do Łodzi — wskazał mi pałacyk przy Napiórkowskiego 10 (dziś ul. Przybyszewskiego), mówiąc: „Tam się możecie zapisać, kolego”. W tym pofabrykanckim pałacyku mieścił się Zarząd Dzielnicowy Związku Walki Młodych Łódź-Górna.

Dlaczego właśnie wybrałem ZWM? Dlaczego ZWM, a nie na przykład OM TUR. Wiel, czy — podobnie jak wielu mych rówieśników z inteligentkich domów — harcerstwo?

Myślę, że pociągnęło mnie do ZWM właśnie to, co innych — być może odstraszało: fakt, że była zupełnie nową młodzieżową organizacją zrodzoną w latach okupacji, a wszystko co zrodziła walka z okupantem, wydawało mi się szlachetne i godne zaufania. Miałem szesnasty rok życia i cechowała mnie bezkompromisowość tak właściwa temu wiekowi. Mówiłem sobie: skoro tamta Polska okazała się tak słaba, i skoro mogło dojść do tego wszystkiego, do czego doszło — to znaczy, że wszystko co działało się kiedyś, było złe, trzeba wszystko zaczynać od nowa, inaczej, lepiej i mądrzej. Dziś wiem, że nie okazałem się wówczas całkiem sprawiedliwy, ale jak powiadam i jak pamiętam, właśnie mło dość tej organizacji przyciągnęła mnie w pierwszej chwili

Dokończenie
na str. 2

Jak tu żyć, panie przewodniczący?



Ten przewodniczący jest właściwie „wice”, ale przecież nie mówi się panie wice-ministrze, ani wicedyrektorze, więc i temu człowiekowi, który ma właśnie „dzień przyjęć” wszyscy mówią „panie przewodniczący”. Przewodniczący pracuje w pokoju 5 na 5 m z widokiem na ulicę Armii Czerwonej, w pokoju jest biurko, na biurku dwa telefony, przed biurkiem krzesła dla interesantów; z tyłu szafa zawierająca komplety „Rady Narodowej”, na ścianie wisi fotografia osiedla Muranów w Warszawie. Te bloki warszawskie irytują, bo tuż za oknem przydzium rysuje się osiedle Widzew-zachód, dlaczego więc chwalić się Muranowem? Ale to chyba skromność widzeńskiej władzy.

O 8 rano pukają tu interesanci, drzwi się za nimi nie zamykają, interesanta pogania interesant, sprawę goni sprawa — tylko tego człowieka za biurkiem nikt nie zmienia.

Siedzę i słucham, a powoli z tego co słyszę, wylania się obraz dzielnicy, jedynej chyba w Łodzi i pod słońcem, w której powiazało się tyle sprzeczności i paradoksów.

Bo jest to osoblawa dzielnica. Gęstość zaludnienia najniższa w Łodzi, tylko 17 ludzi na hektar, ale zagęszczenie na izbę — najwyższe w Łodzi i kraju — 1,95. Na 90 tys. mieszkańców tylko 6873 czyta książki. Jest to dzielnica, w której — jak mnie zapewniłono — można już bezpiecznie wracać po zmianie fabrycznej przez „Małpi Gaj” do domu na Stokach, ale równocześnie zatrważają kroniki ostatnich miesięcy i kwartałów: na Niclarnianej kochanek zarząd kochankę za to, że mu nie pozwoliła pójść na wesele, na Armii Czerwonej początkujący bandyta, po kufiu piwa wypitego w kiosku ulicz-

nym, zabił przypadkowego przechodnia, na Targowej maż powodowany zazdrością zabił żonę, na torach porażono zamordowanego człowieka.

Siedzę, słucham i nadziwić się nie mogę: przewodniczącemu podlega: kultura dzielnicy, zdrowie, opieka społeczna i kwaterunek, ale przecież cały jego „dzień przyjęć” obraca się głównie wokół jednej sprawy — mieszkań!

Okolo południa wydawało mi się już, że człowiek, który właśnie wszedł, przerwie ten zaczerpnięty krąg ludzkiej biedy i nadziei, że nad brudną „bazą” choć raz zatriumfują pilne potrzeby widzeńskiej „nadbudowy”. Gdzie tam! Z tym człowiekiem mogłem potem co prawda rozmawiać o sprawach czytelnictwa, bibliotekach, bo pracuje w komisji radnych zajmującej się tymi

Dalszy ciąg na str. 8

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok VI. ŁÓDŹ, 10. II. 63 r.

Nr 6 (258)

Cena 1 zł



MAŁGORZATA KUCZYŃSKA

Tutaj MIESZKAMY



Fot.: E. Kudaj

Cóż to za miasto! Szare i smutne, zakurzone i nieprzytulne, woniejące widzeńskimi aromatami, niewdzięczny temat dla malarzy i poetów. O brzydocie Łodzi zapisano tomy papieru, nabrała już niemal znamion przysłowia.

Taka jest w oczach przybyszów z innych miast, taką widzi ją wielu z jej mieszkańców. Zresztą sądy te niekiedy pochodzą z ust znawców, czy ludzi w jakimś sensie wyrobionych artystycznie. Rozprawiają o wątpliwej urodzie naszego miasta najczęściej kawiarniani snobi. W „do brym tonie” jest ponarzekać, dając tym samym do zrozumienia znajomym jacyśmy to wybredni, jak dobry mamy smak.

Dziennikarska przekora pod szeptuje inne nieco spojrzenie na te zagadnienia. Nie tylko zresztą przekora. Stare, truistyczne porzekadło mówi, że przyzwyczajenie jest drugą naturą. Na tej chyba właśnie zasadzie miasto nasze ma nie mniej zagorzałych zwolenników niż Kraków czy Warszawa. Podzielone na dwa obozy, z których jeden — główny trzon socjologiczny miasta, — robotnicy, drobni urzędnicy, mało zna inne miasta i nie ma możliwości konfrontacji, a drugi — nazwijmy go skrótowo elita kulturalna — choćby prawem kontrastu z

wieloma innymi znanymi miastami, nie może nie widzieć wątpliwych uroków rodzinnego grodu. Łączy obie grupy sentyment, jaki ma się dla tego co własne, bliskie, w czym się wzrosło, z czym wiąże tysiące spraw czy wspomnień. Kilkomna zdjęciami, gańciami danych chcieliśmy w poprzednim numerze pokazać ogłowi czytelników, jak powstawała nowa architektura, jak to w tej chwili wygląda na Zachodzie. Bynajmniej nie dla przyprawienia niezorientowanych w tych sprawach o kompleks ubożego krewnego z prowincji; wiemy wszyscy, że inne u nas warunki, że porównanie to żadne. Może sobie powstawać na drugiej półkuli piękna stolica Brazylii, oni wolno znali jedynie z prasy, dla nas wycyznem jest współczesna Warszawa. To jasne chyba dla każdego.

MIASTO TRUDNE DLA ARCHITEKTÓW

Ale zastanówmy się co się złożyło na takie a nie inne

Dokończenie

na

str. 5

ZWM

Dalszy ciąg
ze str. 1

H. Gotów byłem negować wszelką przeszłość i akceptować każdą przyszłość, byle tylko niepodobną do tamtej.

Pałacik ZWM przy Napoleńskiego 10 zapelniała młodzież, przeważnie robotnicza. W owych dniach prawie wszystko sprawiło nam największą radość, wydawało się jedyne, wspaniałe i niepowtarzalne. Choćby sam fakt, że tak swobodnie możemy się schodzić, zbierać, rozmawiać. Nie, nie było to jeszcze dyskusje o politycznym zabarwieniu — w tych dniach, powiadam, tacy jak ja chłopcy gotowi byli negować przeszłość, a akceptować każdą przyszłość. Pamiętam, że samorzutnie formowaliśmy się w całe kompanie, maszerowaliśmy się na zaśnieżonym placu przed Zarządkiem Dzielnicowym i całym godzinami — nie wiadomo po co i dlaczego — maszerowaliśmy ze śpiewem, kolumnami, po ulicach Łodzi. W tym właśnie maszerowaniu kolumnami wyrażała się cała nasza okupacyjna tęsknota za prawem do zorganizowanego życia, za prawem do skupiania się, właśnie do otwarcia manifestowania. To maszerowanie zwartymi kolumnami — to była jakby rekompensata za okupacyjny terror, to było sycenie się wolnością.

„Pewnego wieczoru, gdy wracałem do domu jak zwykle w czerwonej opasce na ramieniu — zaczęło mnie dwóch mężczyzn. „Zdejm tę czerwona szmatę, szczeniaku” — żądali ode mnie. Wyszarpnąłem się im i uciekłem. Ale to był pierwszy fakt, który zmącił te dni pełne radości. Uciekłem — ale pozostało we mnie poczucie krzywdy, poczucie, że choć przecież postępuję tak jak trzeba, jak się powinno postępować — inni mego postępowania nie akceptują, są wobec mnie wrodoży. Tak wyglądało moje pierwsze zetknięcie z polityką. Zrozumiałem, że moje racje, moja negacja przeszłości i akceptowanie przyszłości, wielu się nie podoba i że będę musiał racji swoich bronić. W tym wypadku nie uda się już tak uniknąć jak w historii z czerwona opaską. Od tamtego dnia — pamiętam — zacząłem czytać gazety nie tylko na stronach przynoszących informacje o wydarzeniach na froncie, ale i artykuły o nowej Polsce,

„Pamiętam dzień, w którym przyszedł do Zarządu Dzielnicowego ZWM, przedstawiciel Komitetu Wojewódzkiego PPR, zorganizował zebranie i począł tłumaczyć nam, że to mało akceptować przyszłość, tę przyszłość trzeba tworzyć. A po zebraniu towarzyszy ów położył na stole dużą kartę papieru, na której zapisywano ochotników do pomocy w rozdziale ziemi między chłopów. Czmychnąłem wtedy z domu, aby wziąć udział w reformie rolnej i w Skierniewicem przystąpiłem do ekipy rozdzielającej ziemię dworską. Wydawało mi się wprost oczywiste, że ziemia ta musi przejść w ręce tych, którzy zawsze na niej pracowali. Wydawało mi się, że pomagam w dziele niezwykle sprawiedliwym i godnym największego szacunku. Czyż można wyobrazić sobie pozucie krzywdy i niesprawiedliwości, jakie wypadło mi przeżyć, gdy po moim powrocie do Łodzi, do gimnazjum, które otworzyło dla nas swe podwoje — kilku kolegów w klasie zaczęło wymyślać mi od „zdradców” i „sprzedawczyków”.

Tego dnia zrozumiałem, że to mało jest mieć racje. Tych racji trzeba bronić i tymi racjami trzeba przekonywać.

I mają jeden z kolegów przyszedł do klasy w czerwonym krawacie. Na korytarzu spróbowało mu go zerwać — i nagle kilku nas rzuciło się, aby go bronić. Tak się poznaliśmy — Feliks Tych, Włodzimierz Harszewski, i kilku innych z różnych klas. Od tamtej chwili jasnym się dla nas stało, że w pojedynkę niczego w szkole nie osiągniemy, musimy zacząć współdziałać. Ale to, co dziś wydaje się tak wielką oczywistością — założenie koła szkolnego ZWM — w nas samych napotykało wielkie opory. Pamiętam długie i zaciete dyskusje w Zarządzie Łódzkiego ZWM, pamiętam niektórych dyskutantów, młodzieńców szkolną — ZWMowców: Zofię Dudzińską, Hankę Pawłowską, Olę Koszutską. „Czy mamy prawo, przez założenie koła szkolnego separować się od młodzieży robotniczej?” — oto kwestia która nas najbardziej trapiła.

Daliśmy się przekonać, albowiem jak nam tłumaczono — dla organizacji ważnym czynnikiem jest pozyskanie młodzieży gimnazjalnej. Pozostawiliśmy jednak sobie pewną furtkę, podjęliśmy się współpracy z fabrycznym kołem ZWM przy zakładach

„Allarta i Roussou”, (dziś ZPW im. Gwardii Ludowej). Nasze dwa koła szkolne — przy Miejskim Gimnazjum I Liceum (dziś III TPD) i Żeńskim Gimnazjum i Liceum im. Koropnickiej — zbierały się wspólnie z kołem ZWM przy Zakładach „Alarta i Rosola”, jak żarto bitwie nazywaliśmy tę fabrykę.

Współpraca ta zresztą nie trwała długo. Okazało się w praktyce, że każde z tych środowisk miało bardzo różno zainteresowania. Młodzież robotnicza musiała rozstrzygać całą skomplikowaną i specyficzną problematykę produkcji w swej fabryce, a my, szkolniacy — ani nie rozumieliśmy tych zagadnień, ani rozumienie ich nie wydawało się nam potrzebne. Zabawialiśmy się „teoretyzowaniem” i „rozszczepianiem wlosa na czeski” — jak skrytykowane nas kiedyś na Plenum ZL ZWM. Ale właśnie to „teoretyzowanie”: było nam potrzebne w pracy z młodzieżą szkolną. Pamiętam, że u Koszutskich w starej komunistycznej rodzinie, schodziliśmy się, aby w kółku samokształceniowym studiować marksizm. To może dziwne — a dziwne wyda się współczesnemu młodemu czytelnikowi — że marksizmu w Polsce Ludowej, w pierwszych jej latach — trzeba się było uczyć w prywatnych kółkach samokształceniowych. I że robiliśmy to — choć nikt nas do tego nie zmuszał, nikt nam tego nie kazał robić, nikt nam za to stopni nie stawiał. Zmuszała nas do tego jednak obrona naszych racji. Jeśli w szkole chcieliśmy bronić naszego stanowiska w każdej konkretnej sprawie — musieliśmy wiedzieć, dlaczego takie są nasze racje i dlaczego uważamy je za słuszne. Każda lekcja polskiego, historii, biologii — stawała się w szkole areną zacietych dyskusji i bojów politycznych. Pamiętam swój referat: „Dlaczego Stowackiego uważam za pisarza burżuazyjnego” — ileż w tym było wulgarnego i prymitywnego, dopiero co liniejętego marksizmu, i ile oczywistego niesprawiedliwego osądu. A jednak przy całej śmieśności tego rodzaju „elaboratów” — cenne było samo dopracowywanie się swoich sądów, i swoich błędów, aby potem od tych błędów odstąpić. Cechowała nas głęboka wiara w to, że postępujemy słusznie i najwłaściwie.

Ze wzruszeniem myślę o ZWM. Myślę, że była to dobra szkoła dla młodych komunistów. Była dobra dlatego, że każdy z jej członków musiał sam dopracowywać się swego poglądu na świat, pozostawała w niej atmosfera dyskusji i zacietych ideologicznych sporów. Nie było w niej tak charakterystycznego później dla ZMP — rutyniarstwa organizacyjnego, gotowego wzorca życia i działania, który próbowano narzucić młodzieży. W ZWM tolerowano indywidualne cechy każdego mło-

dego człowieka, nie narzucał mu ani ideału życia ani ideału działania. Ważny był tylko cel: Polska Ludowa. Ale był to czas, gdy tej Polki gotowej nikt nikomu nie dawał, trzeba ją było dopiero tworzyć. I w tym dziele tworzenia młodzież miała prawie tyleż praw, co starsi.

Pamiętam zebranie koła ZWM, na którym biadoliśmy, że ZWMowcy mają złe stopnie, ponieważ ciągle są zajęci pracą społeczną. Pamiętam, jak ostro atakowaliśmy tych wszystkich, którzy złapali dwójke na okres. Chodziło nam o prostą sprawę: żył uczniowie nie będą mieli autorytetu i nie wejdą w wyborach do Samorządu Szkolnego, a tym samym zmniejszy się nasz wpływ w szkole. Sprawa więc dobrych stopni, była dla naszego koła zagadnieniem — być albo nie być.

I pamiętam takie same zebranie w kole ZMP: sprawa stopni. Nuda, brak zainteresowania, szablonowa dyskusja. Ale dla tych młodych ludzi nie była to sprawa — być albo nie być. Ich znaczenia w szkole nikt nie kwestionował, ci młodzi ludzie nie musieli bić się o swoje racje...

Pamiętam referendum i samochód, na którym jechali agitatorzy ZWMowcy ze szkół łódzkich. Samochód pod Radomskiem został ostrzelany przez bandę „Warszycy”.

„Pamiętam zbliżającą się maturę i okres wytyżonych do niej przygotowań. To wówczas przecież narodził się projekt, aby ZWMowska młodzież szkolna stworzyła brygadę traktorową, która pracą w okresie wakacyjnym — zasłużyłoby sobie na prawo wstąpienia na uniwersytet. Tak, zasłużyłoby sobie na prawo. Wydawało się nam bowiem czymś trochę żenującym i wstydlivym, że w tym trudnym dla kraju czasie, gdy młodzież robotnicza pracuje z taką ofiarnością w fabrykach — my będziemy siedzieć nad książkami. „Panowie ZWMowcy” — nazywaliśmy siebie wzgardliwie. Wiem, oczywiście wiem, że dziś każdy z nas określi to jako „lewactwo” i zapewne wyśmieje naszą wstydlivosc, nasze zaangażowanie i ową brygadę traktorową. Ale dziś jesteśmy przyzwyczajeni ciągle tylko żądać i żądać, uważamy, że mamy do wszystkiego prawo, a prawie żadnych obowiązków. Byliśmy może śmiešní i naiwni — ale byliśmy szczerzy i wrażliwi w kwestii naszych obowiązków wobec Polski.

I dlatego przygotowując się do matury, ZWMowcy ze szkół łódzkich chodzili jednocześnie na kurs dla traktorzystów.

I pracowali na traktorach. W szczecińskich PGR. A dopiero potem poszli na uniwersytety.

ZBIGNIEW NIENACKI

SENTENCJE na POŻEGNANIE

Czegóż to ludzie nie kolekcjonują! Np. angielski literat i publicysta Barnaby Conrad przez kilkadziesiąt lat zbierał bardzo szczególne aforyzmy. Tak powstała jego książka pt. „Famous Last Words” (Sławne Ostatnie Słowa) — najnowszy popularny bestseller na angielskim rynku księgarskim. Jest to zbiór aforyzmów, sentencji, i złotych myśli, wypowiedzianych w obliczu śmierci przez postacie historyczne z różnych epok. Conrad odszukiwał w starzych kronikach, w zachowanej korespondencji i w pamiętnikach tzw. naczynych świadków setki takich powiedzonek — legendarnych i autentycznych, a publikując je w swym zbiorze uzyskał efekt do prawdy zaskakujący. Bo wiem niezależnie od tego czy dziś te „ostatnie słowa” brzmią w naszych uszach echem dramatu-tragedii, czy ponurej groteski, wszystkie niemal skłaniają do zadumy, mówiąc więcej o tych, którzy je wypowiedzieli, niżli sążniste rozprawy historyczne. Kogóż nie ma w zbiorze Conrada. Autor cytuje w alfabetycznym

porządku nazwisk ostatnie westchnienia, okrzyki i chłodne, sceptyczne uwagi władców i ich konkubin, filozofów i przestępców, ludzi sztuki i businessmenów. Przed czytelnikiem przesuwa się długi korowód postaci pełnych rezygnacji, procesja zmęczonych życiem, lecz wśród nich nie brak i buntujących się przeciw śmierci, czy takich co z uporem lub arogancją do ostatniej chwili odgrywały raz obraną w życiu rolę. Jednym słowem barwny obraz komedii ludzkiej, z wszystkimi jej śmiesznościami i z całym jej patosem.

Tu czytelnikowi mimo woli nasuwa się pewna uwaga: kandydaci na „postać historyczną” winni chyba zawczasu pomyśleć o jakimś błyskotliwym i głębokim aforyzmie na ostatnią godzinę. I sprawę tę należałoby jakoś uregulować: może niechętnie układali takie sentencje oczywiście za pewną odpłatnością — pisarze ze skłonnością do filozofowania? O ileż taka innowacja jeszcze wzbogaciłaby i uwziosliła historię!

ICH OSTATNIE SŁOWA

- Cesarz Wespazjan: „Za chwilę stanę się Bogiem!”
Anatol France: „Mamo!”
Leonardo da Vinci: „Obrazem Boga i ludzi, bo moje dzieło nie było tak doskonałe, jakim być powinno”.
Edward Grieg: „Cóż, jeśli tak musi być!”
Cesarz Neron: „Jaki artysta umiera!”
Hr. Dugarry (do kata pod gilotyną): „Tylko niech mi pan nie sprawi bólu”.
Fryderyk Hegel: „Tylko jeden człowiek rozumiał o co mi chodzi. Ale właściwie to i on mnie nie rozumiał”.
Maria Antonina (do kata): „Pardon, monsieur, nie chciałam panu nastąpić na nogę”.
Danton (do kata): „A potem pokażcie moją głowę ludowi: zasłużył sobie na to”.
Balzac: „Gdyby tu był Bianchon, to by mnie uratował” (Bianchon to postać lekarza z powieści Balzaca).
Chrystian Gellert (filozof i miś-zantrop, usłyszawszy że lekarz szepem mówi jego żonie, że choremu została już tylko godzina życia): „Nareszcie będę i oficjalnie martwy”.
Milloner amerykański Hewitt, umierający w bardzo późnej starości: „Nie nagi, nie nagi! Pocho-wajcie mnie w moim uniformie!”
Fryderyk Wilhelm I król pruski (słyszac pastora szepczącego słowa psalmu — „Nagi wyszedłeś z łona matki i nagi schodzisz w grób”): „Nie mam żadnych wrogów, wszystkich zawczasu rozstrzelałem”.
Hiszpański generał Narvaes (na naleganie księdza, aby wybaczył swym wrogom): „Dajcie mi pancerną kamizelkę!”
Cesarz Franciszek Józef: „Boże zachowaj naszego dobrego cesarza Franciszka!”.
S. M.



Boże, zachowaj
naszego dobrego
cesarza
Franciszka Józefa

CO w terenie?

Laureaci nagród województwa łódzkiego za działalność kulturalno-oświatową w roku 1962 — Zenobiusz Poduszko, Wacław Pilarski i członkowie Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Łowickiej wzięli udział w uroczystym spotkaniu z Przewodniczącym Prezydium WRN — F. Grochałskim, który dokonał wręczenia nagród. Obecni byli m. in. członkowie Prezydium WRN, Kierownik Wydziału Kultury PWRN — Urbański, Sekretarz KW PZPR — J. Szczepiński

oraz Przewodniczącą Komisji Kultury WRN — J. Sulej.

Przygotowania do X Jubileuszowego Konkursu Recytatorów są w pełni. Oto terminarzyk eliminacji powiatowych:

1. Belchatów — 23 lutego.
2. Brzeziny — 24 lutego.
3. Zgierz — 3 marca.
4. Łowicz — 9 marca.
5. Łódź-powiat — 10 marca.
6. Rawa Maz. — 16 marca.

7. Łęczyca — 17 marca.
8. Pabianice — 23 marca.
9. Pajęczno — 24 marca.
10. Piotrków — 24 marca.
11. Sieradz — 25 marca.
12. Wieluń — 30 marca.
13. Wieruszów — 31 marca.
14. Tomaszów — 30 marca.
15. Poddębice — 31 marca.
16. Zduńska Wola — 1 kwietnia.
17. Kutno — 6 kwietnia.
18. Skierniewice — 7 kwietnia.
19. Radomsko — 7 kwietnia.
20. Łask — 13 kwietnia.

Eliminacje będą miały charakter masowych uroczystości, łącząc się będą z turniejami recytatorskimi, wieczorami kultury żywego słowa i poezji.

W ubiegłym roku na terenie naszego wojewódz-

stwa trwały roboty na budowę 62 obiektów kultury, ralmych (wiejskie domy kultury, domy ludowe, świetlice wiejskie, sale ul. dowiskowe) powstających w ramach czynów społecznych. Jedenaście z nich oddano już do użytku, m. in. Domy Ludowe w Zawadzku, Chorzęcinie i Przewodnie (Brzezinię) oraz Dom Kultury w Ręcznie koło Piotrkowa.

W wojewódzkim punkcie konsultacyjnym Państwowego Ośrodka Kształcenia Korespondencyjnego Bibliotekarzy dokształca się 63 nauczycieli i pracowników bibliotek publicznych i związkowych. Parę dni temu zakończyła się właśnie zimowa sesja egzaminacyjna. Końcowe egzaminy odbędą się w czerwcu. Kurs trwa półtora roku.

Dobre, lepsze i najlepsze

Dzięki usilnym staraniom Rady Artystycznej kina studijnego „Gdynia”, Centrali Wynajmu Filmów i Okręgowego Zarządu Kin — Łódź, słynne „polskie Hollywood”, doczekała się nareszcie imprezy filmowej o znaczeniu nie tylko ogólnopolskim, ale wręcz światowym.

Bowiem tylko trzy miasta na świecie szczytują się przywilejem organizowania Festiwalu Filmowego, są to: Londyn, Acapulco i Warszawa. Festiwal Łódzki stał się jedynym w bieżącym roku powołaniem warszawskiej imprezy na terenie naszego kraju.

Festiwal Filmowy jest przeglądem filmów nagrodzonych na najważniejszych festiwalach europejskich w danym roku, trudno więc nie doceniać jego znaczenia dla miłośników sztuki filmowej. Festiwal taki stanowi bowiem swego rodzaju bilans osiągnięć światowej kinematografii. Daje obraz problematyki pasjonującej twórców wielu krajów i najciekawszych tendencji artystycznych. Oczywiście, nie wolno zapominać, że jest to obraz niepełny. A to z wielu względów. Niestety, nie będziemy mieli okazji obejrzeć wszystkich nagrodzonych pozycji festiwalowych z racji tzw. przychylności obiektywnej. Nie zobaczymy więc np. znakomitego „Procesu Joanny d'Arc”

„Procesu Joanny d'Arc”, Bressona, („Srebrna Palma” w Cannes), „Anioła zagłady” Bunuela (Nagroda Krytyki w Cannes), „Ślubowania” Anselmo Duarte (Grand Prix w Cannes) i bardzo interesującego filmu amerykańskiego „Dawid i Liza” F. Perry (nagroda za debiut w Wenecji). Pamiętać również należy, o tym, że nie zawsze nagrody są powódźdzeniem istotnych wartości filmów. Na podział nagród wpływają również czynniki nie zawsze natury artystycznej. Zresztą nawet znakomite jury mogą popełniać omyłki. Wystarczy przypomnieć dyskusję, jaka rozgorzała po ogłoszeniu wyników ubiegłorocznego festiwalu w Cannes. Wielu krytyków uważało np., że nagroda przyznana filmowi „Rozwód po włosku” należała się raczej drapieżnej komedii Berlangi „Placido”. Nie znalazł uznania w oczach jury jeden z niewątpliwie najciekawszych filmów minionego roku „Cleo od piątej do siódmej” Agnes Varda. Dodajmy jeszcze, że nie wszystkie interesujące pozycje trafiają na festiwalowe ekrany. Dotyczy to np. „Opowieści Zachodniej Dziewicy” R. Wise i „Prywatnego życia” Malke'a.

Mimo trefi wszystkich zastrzeżeń Festiwal Filmowy mała swą niezaprzeczalną wartość. Dają wi-

dom pewną syntezę tego, co się dzieje w światowym filmie. Miniony rok nie był rokiem filmowych rewelacji na miarę „Hiroszimy, mojej miłości” Resnais lub „Przygody” Antonioniego, co nie znaczy, że był okresem kryzysu. Był to raczej rok kontynuowania i umacniania się tendencji zapoczątkowanych w latach poprzednich. I tak, „Zaścienie” stanowi ostatnie słowo wielkiej trylogii Antonioniego; „Proces Joanny d'Arc” doprowadza do perfekcji metodę twórczą Bressona, a „Smak miodu” Richardsona kontynuuje poszukiwania angielskiego „Free cinema”.

Znamienną cechą 1962 roku był fakt wkroczenia na międzynarodową arenę kinematografii krajów nie mających do tej pory wiele do powiedzenia w tej dziedzinie sztuki. Najlepszym tego dowodem są m. in. nagrody zdobyte przez Brazylię za „Ślubowanie” i przez Grecję za „Elektre” Cacoyanisa. Włochy zachowały w świecie filmowym swą pozycję kraju najbardziej żywotnego, prezentując sporą ilość dzieł zarówno starych mistrzów, jak i zdolnych debiutantów, spośród których warto wymienić Passoliniego — twórcę filmów „Włóczykij” i „Mamma Roma” oraz Orsińskiego — autora ciekawego filmu „Człowiek, którego przeznaczone na stos”.

Znają nie tylko w Włoszech, miniony rok przyniósł wiele obiecujących debiutów, które zyskały międzynarodową renomę. Debiutujący w filmie fabularnym Roman Polański uratował swym „Nożem w wodzie” honor polskiej kinematografii, uzyskując Nagrodę Krytyki na Festiwalu w Wenecji. W słabo reprezentowanej w tym roku kinematografii amerykańskiej najwybitniejszą pozycją okazał się film będący również debiutem. Mowa tu o filmie reżyserki F. Perry'ego pt. „Dawid i „Liza”.

Film radziecki na festiwalach prezentowali z równymi szansami klasyki M. Romm i debiutant A. Tarkowski. „Dziesięć dni jednego roku” zdobyło główną nagrodę w Karłowych Warach a „Dziecko wojny” w Wenecji. Obydwa te filmy mają szczególną wagę dla rozwoju nowego kina radzieckiego. Ich novum polega na tym, iż reprezentując różne postawy twórcze, podjęły one próbę głębszego ujęcia problemów współczesnego człowieka aniżeli w granicach „małego realizmu” tak charakterystycznego dla tzw. „nowej zmiany”. Zwłaszcza film Romm jest swego rodzaju wielką i namętą rozprawą o postawie współczesnego człowieka i sensie jego działania.

„Dziesięć dni jednego roku” kinematografia radziecka włączyła się w światowy nurt filmu intelektualnego podejmującego najistotniejsze problemy naszych czasów. Natomiast film A. Tarkowskiego bliższy jest formule filmu poetyckiego, do której zmierza również Serge Bourguignon w filmie „Niedziele w Ville d'Avray”. Czy jesteśmy więc świadkami narodzin nowego typu kina poetyckiego, kina operującego nowymi środkami wyrazu? W gruncie rzeczy jednak fabularny film współczesny dąży w sposób bardzo wyraźny do swoistego dokumentalizmu w traktowaniu rzeczywistości, do wszechstronnej, bardzo sumiennej i obiektywnej analizy poruszanych problemów. Sukcesy filmów „Żyć własnym życiem” Godarda i „Serce pełne smutku” Reichenbacha dowodzą, iż ta metoda twórcza odpowiada postawie dzisiejszego człowieka.

Prawdziwie współczesny film nie stroni od problematyki społecznej i obyczajowej, starając się ujawnić zjawisko w sposób rzeczowy i socjologicznie pogłębiony. Tak właśnie postępuje Godard w filmie „Żyć własnym życiem”, w którym szczegółowa i obiektywna analiza zjawiska prostytucji posiada głębszą wymowę i ogólniejszy sens. Podobnie ma się rzecz w takich filmach jak „Ślubowanie” i „Włóczykij”. Nawet pozornie czysto obyczajowa komedia „Rozwód po włosku” P. Germi urasta do rangi jakiegoś pamfletu społecznego. Prawdziwie wielki, oskarżycielski pamflet na człowieka i jego pozycję w dzisiejszym świecie znaleźć możemy w drapieżnym filmie Bunuela „Anioł zagłady”. Bunuel jak zwykle wypowiada wojnę całemu światu i bez osłonek ukazuje jego zgniliznę.

Z zupełnie innej, choć nie mniej pesymistycznej pozycji patrzy na człowieka i jego sprawy M. Antonioni. Głównym obiektem jego zainteresowań jest psychika i charakter człowieka XX wieku. Antonioni reprezentuje nowy typ filmu psychologicznego, posługującego się różnymi od tradycyjnych środkami analizy psychiki bohaterów. Jego metoda znajduje w świecie coraz więcej naśladowców.

Kończąc ten krótki przegląd najważniejszych filmów i problemów kina 1962 roku możemy śmiało powiedzieć, że Festiwal Filmowy jest nie tylko pokazem najciekawszych pozycji filmowych, ale jakimś obrazem spraw najistotniejszych ludziom naszej epoki. I to chyba przesądza najlepiej o wartości filmów jakie będą na Festiwalu prezentowane.

dwóch bohaterów, którzy muszą obok siebie egzystować.

„WARIANT R” zrealizowany przez reż. Sergiusza Sprudina — to dokument z wyprawy taterników w rejonie Morskiego Oka. Znakomite zdjęcia, pełne napięcia i grozy sytuacje zanotowane na taśmie przez Sprudina, czynią ten film dziełem, które nie tylko ukazuje wysiłek i ludzkie namętności pokonywania przeszkód, ale także świetnie spełnia warunki filmu krajoznawczego pokazującego jedną z najpiękniejszych partii Tatr Wysokich.

Dwóch młodych realizatorów — reż. Edward Eiler i operator Antoni Nurzyński są autorami znanego już filmu „CMENTARZ REMU”, nagrodzonego Srebrnym Zagłem na Festiwalu w Locarno.

Współpraca reż. Witolda Giersza autora filmów animowanych i reż. Ludwika Perskiego — dokumentalisty, dała świetny i chyba niepowtarzalny w swej formie film „OCZEKIWANIE” zrealizowany dzięki pomysłowi wykorzystania papierowych laleczek skręcanych z bibułkowych serwetek, które najczęściej mierni w palcach oczekujące kogoś przy kawiarnianym stoliku.



Claudia Cardinale i Marcello Mastroianni w nowym filmie Federico Felliniego „8 1/2”.



ALEKSANDER NIEMIAŁEK

MAŁY METRAŻ na FFF

Tak jak Festiwal Filmowy jest w dużym stopniu odbiciem światowej produkcji filmowej — fabularnej, tak, niestety, ze względu na techniczne (ogromna ilośćowo produkcja światowa krótkometrażówek) nie może być odbiciem wszystkich Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Po mimo tego, bardzo słusznym organizatorzy FFF uwzględnili do niósłoci produkcji filmów krótkometrażowych w sztuce filmowej. Tak więc obok filmów fabularnych nagrodzonych na Międzynarodowych Festiwalach, a omawianych obok, utrzymamy w ramach FFF między innymi film reż. Władysława Ślesickiego i operatora Leszka Krzyżńskiego „PŁYNA TRATWY”, który został nagrodzony I na-

grodą w dziedzinie filmów dokumentalnych na II Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. „Płyną tratwy” jest filmowym i poetyckim „raportem o oryżu”, o dorastającym chłopaku, który rozpoczyna swoją pierwszą „dorosłą” pracę przy spławie drewna na jeziorach i kanałach Pojezierza Augustowskiego.

Twórcą „Dwóch ludzi z szafą”, „Ssaków” i fabularnego „Noża w wodzie” (prezentowanego także na FFF) reż. Roman Polański zrealizował podczas pobytu we Francji grotesk filmową w formie pokrewna „Ssakom”. „GRUBY I CHUDY” — tak zatytułowana jest etiuda, dotycząca ludzkich cech wynikających m. in. z warunków zewnętrznych

„PIERWSZY KROK” reż. Kazimierza Karabasa i operatora Antoniego Staśkiewicza na podstawie zupełnie do tej pory niezrozumiałych kryteriów, otrzymał pierwszą nagrodę na ubiegłorocznym festiwalu w Krakowie w dziedzinie filmów oświatowych. Trudno w tym wypadku o bardziej żenujące pomylone gatunkowe filmu krótkometrażowego. Ten znakomity dokumentalny film Karabasa, twórcy rewelacyjnych „Muzykantów” jest dziełem, w którym filmowa obserwacja z ukrycia reakcji psychicznych dzieci uczących się w jednej ze szkół muzycznych, jeszcze raz potwierdziła skuteczność metody obserwacyjno-refleksyjnej. Metody, która Karabasowi i innym jak np. reż. Janowi Łomnickiemu w „Narodzinach statku” przyniosła świetne rezultaty. Nie bez przyczyny „Pierwszy krok” został wyróżniony na ostatnim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Tours, gdzie „Ssaki” Polańskiego uzyskały Grand Prix.

Spośród zagranicznych filmów krótkometrażowych, które będą reprezentowane na FFF zasługują na wyróżnienie film produkcji francuskiej „I MALPA MA ZĘBY” reż. Rene Laloux. Ten kolorowy film powstał w

wyniku wizyty, jaką złożyli filmmowcy w jednej z francuskich klinik psychiatrycznych. W zakładzie tym prowadzi się ciekawe eksperymenty, zostawiając pacjentom dużo osobistej swobody i umożliwiając im organizowanie własnego życia towarzyskiego. Film rejestruje przed stawienie opracowane wg oryginalnego scenariusza napisanego przez pacjentów kliniki psychiatricznej w Cour-Cheverny. Zawiera ciekawą filozoficzną opowieść o dentyście i malpie. W sumie „I malpa ma zęby” jest bardzo interesującym filmem dokumentalnym.

Podobny w swej formie do filmów Polańskiego jest film reż. Pierre Etaix i Jean Claude Carriere „ZERWANIE” — świetna groteska pantomimiczna, której bohaterem jest mężczyzna bardzo pechowy. Przyśłowiony pech, złościwość przedmiotów martwych sprawiają, że nie może nawet zerwać listownię z ukochaną dziewczyną. Film odznacza się niezłym humorem zaskakującym i oczywiście zaskakującą pointą.

Krótkometrażowa produkcja kanadyjska jest w Polsce znana przede wszystkim dzięki filmom i osobistej wizycie słynnego Mac Larena („Sąsiedzi”). Tym razem mamy okazję uj-

rzeć film dokumentalny reż. Arthura Lipseita „VERY NICE” („Jak to ładnie!”), nagrodzony na Festiwalu w Tours w roku 1960. Ten kapitalny dokument dotyczy współczesnego człowieka żyjącego w świecie chaosu, wobec którego jest bezbronny. Człowiek chce się wyrwać z koszmara naszych czasów. Gdzie jest właściwie szczęście? Czy jazz i jego elementarna energia są symbolem historii współczesnego świata? Na te i inne pytania próbuje twórca „Very nice” odpowiadać w swoim filmie.

W przeciwieństwie do filmów fabularnych prezentowanych na Festiwalu Filmowym, polskie filmy krótkometrażowe będą dominowały. Jest to niewątpliwie jakiegoś odbicie światowej roli polskich filmów krótkometrażowych, które zaliczane są do najciekawszych i najambitniejszych w światowej produkcji krótkometrażowej.

odgłosu



„...A że pan Bóg ją stworzył, a szatan opętał, jest więc odtąd na wieki i grzeszna i święta, zdradliwa i wierna, i dobra i zła, i rozkosz i rozpacz, i uśmiech i łza, i anioł i demon, i upiór i cud, i słodycz i gorzkość, i piotun i miód, i szczyt nad chmurami i przepaść bez dna, początek i koniec...” — tak w poetyckiej transpozycji Juliana Tuwima przedstawia się kobieta.

EWA OSTROWSKA

Między społeczną gwarancją a zwyczajem

Jak wyglądała ta, którą niedawno zabrało pogotowie z udami pociętymi brzytwą, tego nie wiem. Wiem natomiast, że maż tej kobiety jest alkoholem, a jedno z jej trojga dzieci — debilem. Ale nawet śliniacy się debil zdążył już nauczyć się przynajmniej jednego uczucia: strachu. Strachu przed krokami ojca. Od tych kroków wiele zależy. Bezpieczeństwo też. Matka nie zdążyła przed nim uciec. Piłany maż pokrajał jej uda brzytwą, posypał solą i zadowolony z dowcipu, zaprosił sąsiadów, aby śmiali się razem z nim. No, a później przyjechało pogotowie.

Uzbięrał mi się wcale pokazywać stos wycinków gazetowych — materiał w stylu: „Poturbował żonę, będąc w stanie nietrzeźwym”, „Alkoholik skazany na więzienie za maltretowanie rodziny”. — Znamy to, dobrze znamy. Może z bliskiego sąsiedztwa, może z opowieści, może właśnie z wycinków gazetowych. Jeszcze pokazać materiał dysponują sady, kolegia, poradnie przeciwalkoholowe. Te zwyczajne, najczęściej spotykane przypadki nie posuwają się aż do patologii, ot, po prostu, z powodu ojców alkoholików w paru tysiącach rodzin łódzkich nie starcza na tzw. „życie”. Jesteśmy już tak przyzwyczajeni do tego rodzaju sytuacji, że kiedy przypomina je publicysta, mówimy — powtarza się, goni w piętke, nie ma już o czym pisać. Ale zdumienie nie oznacza jeszcze, że problem przestał istnieć.

Smieszna historia. I z czego tu urasta problem? Ko-

bieta ma przecież zagwarantowane prawa, niech więc idzie do pracy, niech się uniezależnia, jeśli jej maż przepija pensje. Socjolog dodaje:

„Praca zarobkowa i zawodowa kobiet wpływa niewątpliwie na życie rodzinne i to zarówno w sposób pozytywny, jak i negatywny. Pozytywny, ponieważ uniezależnia kobiety od zarobków maża, i na wypadek pozostania samej zapewnia jej materialne środki do utrzymania siebie i dzieci. W sposób negatywny zaś, ponieważ może dostarczyć więcej okazji do rozbiegania małżeństwa, zmniejsza bowiem troskę, a raczej zmniejsza „wsłlek wkładany w pracę domową, stwarza konieczność wciągnięcia maża do udziału w pracach domowych — co napotyka na opór ze strony mężczyzny, itd.” — pisała dr. Stefania Dziecielska w artykule „Kobieta a zawód” („Dziennik Łódzki”, nr 12).

Sformułowania „gładkie, jak zwykle po gruntownych i odkrywczych badaniach. „Praca zarobkowa uniezależnia kobietę”. W teorii — na pewno. Ale nie w praktyce. Bo najpierw kobieta musi zacząć pracować. Aby zaś mogła pracę rozpocząć, musi mieć wykształcenie i przygotowanie zawodowe. Następnie — powinna zarobić tyle, żeby starczyło jej na to uniezależnienie. Każdy z kolei dobrze wie, że zawody typowo kobiece, sfeminizowane jak pielęgniarstwo, bibliotekarka, przedszkolanka a często i — robotnica są nisko płatne. — Założmy jednak, że to wszystko nie są przeszkody najistotniejsze. Oto pani X pragnie uzupełnić zarobki maża przez podjęcie pracy. Kończy więc kurs maszynistek w Lidze Kobiet, angażuje się szczęśliwie do pracy jako sekretarka, zarabia tysiąc złotych, dzieci bez trudności (?) umieszcza w przedszkolu, L. — wszystko jest radosne, i wszystko jest różowe, jak w bajce dla grzecznych dzieci, nadaje się do referatu sprawozdawczo-wyborczego, ale po referacie? Maż musi mieć

obiad na czas, poprane koszule, długa lista powinności musi być wypełniona. Inaczej sąsiadki zaczynają plotkować — ta X, zaniedbała się jako żona, i co jej po tych marnych groszach, lepiej by mażowi guzik do palta przyszyła. I zaraz wkracza na scenę konwenas, nieprzewyciężona opinia społeczno-sąsiedzka. Zła żona, myśli tylko o sobie, drzewa w lesie nie rosną równo, a jej się zachciewa. Boga w sercu nie ma, chłop wczorajsza zupę je, rękawiczki — dzurawe, franki nie wyprane, dzieci u fryzjera nie były...

Dlatego przykro, jeśli socjolog upatruje główną przyczynę rozkładu małżeństwa w „konieczności wciągnięcia maża do pracy domowej, co napotyka na opór ze strony mężczyzny, itd.”

Przecież nie o źle przyszyty guzik rozbija się życie rodzin, lecz w wielości przypadków o konsekwencje obyczajowego uwikłania kobiety. Zrówanie praw za wodowych dało kobiecie wielką szansę, ale i szereg nowych obowiązków, które pozostają w sprzeczności ze starymi normami obyczajowo-moralnymi. W dalszym ciągu aktualne są stwierdzenia sąsiedzkich partycularzy: kobiecie nie wypada uniezależniać się od maża, nie wypada jej zostawać samej. Życie bez maża skazuje przecież kobietę na swoistą dyskryminację społeczną. Opinia zaś stoi raczej po stronie mężczyzny, nawet tego alkoholika, który pokaleczył żonę brzytwą: — „po co zaraz milicja? — wypil sobie trochę i już rwetes?!“

żliwości zdobycia zawodu z przyczyn oczywistych, i — na dobrą sprawę — nie mają już ich i teraz — z przyczyn również oczywistych. Właśnie dlatego, że są już zbyt stare, choć w gruncie rzeczy jeszcze młode, a dalej — rodzina, obowiązki, maż, dzieci. I następne ogniwo błędnego koła: są to przecież te kobiety, które znajdują się w ciężkich warunkach materialnych, inne, jak wiadomo, rzadziej szukają pracy. Co prawda udział kobiet w szkołach dla pracujących wszelkiego typu jest dość wysoki (w szkołach podstawowych dla pracujących na 5905 uczniów — przypada 2220 kobiet; w liceach korespondencyjnych dla pracujących na 1167 uczniów — 735 kobiet; w liceach dla pracujących na 3060 uczniów — 2174 kobiety). Tym stanem można się pocieszać, lecz nie wolno się nim uspokajać — kobiet do lat 35, zatrudnionych w łódzkim przemyśle włókienniczym bez ukończonego podstawowego wykształcenia jest około sześciu tysięcy, a w Wydziale Zatrudnienia w ciągu pierwszego i czwartego kwartału (drugi i trzeci to okres prac sezonowych) ubiegłego roku zanotowano 370 kobiet, jedyń-nych żywicieli rodziny, którym — ze względu na ciężkie warunki materialne — należało udzielić zapomogi z funduszu interwencyjnego. Każdy, kto jako tako zna tendencje rozwojowe przemysłu łódzkiego wie, że problem przyszej pracy tysięcy włókniarek wcale nie jest taki prosty.

Cytatu z Orzeszkowej

ca nie będzie dla nich problemem. W ubiegłym roku „popyt” na pracę absolwentów okazał się znacznie większy niż „podaż”. Ale praca zawodowa — choć oznacza wielki krok naprzód — jeszcze nie spełnia warunków równouprawnienia. Ani też pralka, lodówka i zmechanizowana kuchnia (na którą przeciętna kobieta będzie mogła sobie pozwolić — za ile lat?). Ani nawet ideał maża — trzępiącego dywanu na podwórku.

Spróbujmy teraz wziąć za przykład jakiś jeden, małeńki wycinek z zakresu uprawnień socjalnych dla kobiety, spróbujmy przeanalizować sposoby korzystania z niego, a ukaza się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki te wszystkie zahamowania, o których była już mowa. Kiedy w Poradni Ochrony Macierzyństwa uzyskałam informację, nader progностyczną, że jeżeli jeszcze kilka lat temu, w niektórych dzielnicach Łodzi, „babka” zastępowała położną, lekarza, szpital, to obecnie, 90 proc. kobiet rodzi w szpitalu, dopatryłam się w tym fakcie widomego znaku zmian na lepsze. Ale kiedy informację uzupełniono wyjaśnieniem, że tych dziesięć spornych procent stanowią kobiety — pracownice fizyczne, które rękami i nogami bronią się przed praniem socjalnym i nie chcą iść do szpitala, gdyż... za pobyt w szpitalu potracą się im później, mocą dosyć dziwnej na stosunki socjalistyczne ustawy — wysoką odpłatność z pensji, pomysłalam — oto nowe ogniwo do błędnego koła.

Znajdą się i następne: rośnie liczba chorób nerwowych, krzywa zachorowań na serce, co przedstawia szczególne niebezpieczeństwo dla kobiet ciężarnych. Tymczasem, 60 proc. łódzkich kobiet zgłasza się do Poradni Ochrony Macierzyństwa w stanie ciąży zaawansowanej, gdy na profilaktykę w

zasadzie jest już za późno. — I socjalne prawa stają się bezsilne wobec nowego zwyczaju: dał Bóg dziecko — Rzeczpospolita Ludowa zapłaci!

Powiększyła się bardzo liczba kobiet chorych wenerycznie. Lekarze zastanawiają się, czy w najbliższym czasie nie należałoby urządzić nowej akcji „W”. W czterech, istniejących na terenie Łodzi Poradniach Ginekologii Dziecięcej spotkano się z 16 przypadkami zachorowań na kręzączkę u małych dziewczyn, zarzonych od swoich matek na skutek fatalnych warunków higienicznych. Choć liczbą zabiegów przerywania ciąży wyraźnie się zmniejsza w ciągu ostatniego roku — 1960 było ich 11 tys. w 1961 już „tylko”, 8 tysięcy — to w dalszym ciągu nieuregulowana zostaje kwestia tzw. „zabiegów kryminalnych”.

Znowu więc zastarzałe pojęcia moralno-obyczajowe, znowu oceany skrupułów, dalekich od wymogów współczesnego życia, za które w ostatnim rachunku odpowiada kobieta.

I jeszcze ciekawostka: wprowadzone przez Radę miasta badania na raka dla kobiet zatrudnionych w przemyśle stwierdziły 61 wypadków, wymagających leczenia (na 23 tysiące przebadanych kobiet). Smutna ciekawostka.

Nie tak więc łatwo rozpuścić węzełek błędnego koła. Zatacza ono szeroki krąg pomiędzy społeczną gwarancją a zwyczajem. Nie potrafilimy jeszcze, mimo oczywistych postępów, poradzić sobie z nim w ciągu tych wszystkich lat wprowadzania w życie gwarancji, albo inaczej równouprawnienia. Piszę jednak o tym, gdyż jestem przekonana, że sprawa na swój sposób „ograne” w prasie, w codziennym życiu stanowią nadal problem ważny i jeszcze nie rozwiązany w całości.



Fot. W. Biliński

Dalszy ciąg
ze str. 1

TUTAJ MIESZKAMY

oblicze naszego miasta i dlatego tak trudno je zmienić? Przyczyną są specyficzne, inne zupełnie niż to miało miejsce choćby w Warszawie warunki powstania miasta. Gwałtowny, szybki rozwój w ubiegłym stuleciu z podrzędnej miejsciny w przemysłową metropolię sprawił, że można je było zupełnie od nowa, tak jak się projektuje budynek — zaplanować. Więc nie spontaniczny, powiększający się w ciągu lat organiczny rozwój, a narzucony, ściśle określony plan. Stąd rzadko spotykany układ, regularny rytm prostopadłej siatki ulic, z osi dwu placów, to było dobre i wystarczające w warunkach XIX wieku. Paradoxiem natomiast jest, że diametralnie różne warunki współczesnego życia, automatyzacja, tempo — zostały wcisnięte w XIX-wieczne ramy.

Za biedniejszy jeszcze, by solidne, stuletnie zaledwie do my burzyć, by przystosować miasto do nowych potrzeb. Tak więc męczymy się w tym za klasnym, wyśniewym, XIX-wiecznym ubraniem.

MIASTO DLA ROBOTNIKÓW CZY ROBOTNICZY DLA MIASTA?

Ciąży nad Łodzią przemysł. Unosząca się nad miastem ciężka, gruba chmura dymu i spalin — fatalna z punktu widzenia zdrowotności, nie pozwala zapominać, że jesteśmy w polskim Manchesterze. Prze myśl, to ów molocho, któremu służy i ofiarą składa całe miasto. Wdarł się w jego centrum, w dzielnicę mieszkaniową, wytwarzając klimat szkodliwy dla zdrowia.

Najsilniejszą grupą socjologiczną Łodzi byli i są robotnicy. A więc w warunkach Polski początek XX w. grupa społeczna zamiedziana, grupa o której warunki bytowe nikt się nie troszczył. Stąd wzięła się absurdalna wręcz gęstość zabudowy Śródmieścia. Wzobogaciło to właścicieli parcel, na których stawiano kamienice czynszowe, stwarzając jednocześnie więcej niż optymalne warunki mieszkaniowe lokatorów niezliczonych oficyjn.

Były wprawdzie w 20-leciu międzywojennym szlachetne plany przebudowy miasta ale ze zrozumiałych względów nie miały szans realizacji. Taki plan generalnej przebudowy miasta opracował po pierwszej wojnie inż. Goldberg.

Plan ów przewidywał podział miasta na strefy: mieszkaniową, przemysłową, mieszkaniowo-przemysłową, mieszkaniowo-handlową, ośrodek zieleni miejskiej, budynki użyteczności publicznej. Na rozwój przemysłu przeznaczal tereny na południowym-wschodzie, nie nadające się do mieszkania ze względu na niskie i niezdrowe położenie.

Podział na strefy miał zapobiec mieszaniną przemysłu z dzielnicami mieszkaniowymi.

Plan przewidywał także skanalizowanie miasta i poszerzenie arterii komunikacyjnych.

Po wojnie wzrosły nadzieje na uzdrowienie chorego organizmu. Ale punkt ciężkości w inwestycjach trzeba było położyć na Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu. Łódź nie była pierwszą potrzebą. Po paru jednak latach wzrastający przyrost naturalny sprawił, że zaczęło brakować mieszkań. Przypada dziś u nas 1,90 osoby na izbę i gorsze warunki są już tylko w Warszawie: 1,95 osoby na izbę.

CO Z KOMUNIKACJĄ?

Ale największą bodaj bolączką miasta jest sieć komunikacyjna — nerwy organizmu miejskiego. To co się dzieje na Piotrkowskiej — głównej arterii handlowej, to już nawet nie dramat, to wprost groteska, choć mocno żalona. W 700-tysięcznym mieście na skrzyżowaniach głównej ulicy, łańcuchy ograniczają przestrzeń liczącą sobie 2-3 m, podczas gdy pas teoretyczny, jaki przyjmuje się dla jednego przechodnia wynosi 75 cm. A więc 1,5 m potrzeba, by na ulicy mogło się wyminąć dwu przechodniów. To nie wymaga chyba komentarza.

Walka między chodnikiem a jezdnią trwa, rozpycha się

jezdnią, by sprostać rozwijającemu się wciąż ruchowi kołowemu, rozpycha się chodnik, by pomieścić potracającą się wzajemnie kawalkadę pieszych. Jak dotąd przewagę w tej walce uzyskuje ten ostatni — przechodnie chodzą po jezdni — na razie jeszcze samochody nie wjeżdżają na chodnik, ale kto wie?...

Plany perspektywiczne przewidują w związku z tym przesunięcie Śródmieścia z ul. Piotrkowskiej, a właściwie ściślej mówiąc, stworzenie Śródmieścia od nowa. Odczuwa się bowiem w Łodzi brak prawdziwego Śródmieścia o wielkich założeniach urbanistycznych.

— pierwszych wielkopłytowych wysokościowców w Polsce. Było ono jednym z pierwszych w dziedzinie zastosowania prefabrykowanych konstrukcji szkieletowo-płytowych w budownictwie mieszkaniowym — konstrukcji dających możliwość maksymalnej swobody kształtowania wnętrza ograniczonych jedynie rozstawem wylewanych ścian wewnętrznych. Pod względem plastycznym natomiast jest, niestety, bez wyrazu. Płaskie elewacje o nieciekawych otworach okiennych z monotonna kłatką schodową są plastycznie nijakie. Dobrym natomiast

nu łazienkowego — (nie jest to bowiem klasyczna łazienka, spotykana we wszystkich mieszkaniach). W czasie, gdy nikt z domowników nie korzysta z wanny (jest ona wtedy zasunięta tylko kurtynką) przechodzi się tędy z przedpokoju do kuchni. W momencie, gdy ktoś się kąpie, pomieszczenie to zostaje zamknięte drzwiami do przedpokoju i drugimi do kuchni. Do tej ostatniej dostęp jest wtedy przez jeden z pokoi. Jest to cenne rozwiązanie, stwarzające elastyczność mieszkania przez fakt, że nie ma w nim jednej tylko drogi poruszania się. W naszych nor-

PLANY PERSPEKTYWICZNE

W planowaniu rozwoju Łodzikiego zespołu miast i osiedli przewiduje się zrównoważenie istniejącego wydłużonego układu o kierunku północ-południe, przez rozbudowanie dzielnic na wschodzie (Widzew zachodni, Podgórze, Stoid) i na zachodzie (Karłow, Retkinia, Brus, Zdrowie, Złotno).

W dziedzinie budownictwa mieszkaniowego planuje się wykańczanie osiedli dotychczas realizowanych (Bałuty, Doly, Zubardz, Koziny, Karłow itd.) i rozpoczęcie nowych w rejonie ul. Skrzywana i Zeromskiego, na Kuraku, Widzewie. Wreszcie rozpoczęcie osiedli, Dąbrowa zach., Zarzew, Teofilów połudn.

W układzie dzielnicy centralnej dąży się do wyodrębnienia Śródmieścia zawartego między ulicami: Narutowicza, Zielona, Sterlinga-Targowa, Główna-Mickiewicza i Kościuszki. Nowy plan przewiduje utworzenie wielkiej alei między Dworcem Zachodnim a Fabrycznym. Aleja ta wraz z Pl. Zwycięstwa i placem przy skrzyżowaniu jej z Piotrkowską, pozwoli na stworzenie centrum miasta, w którym skupią się najważniejsze budynki: Prez. Miejskiej i Wojewódzkiej Rady Narodowej, Dom Kultury, Dom Młodzieży, kina, teatry, biurowce. W 1961 r. ogłoszono konkurs na Spółdzielczy Dom Handlowy, mający stać między ul. Piotrkowską, Mickiewicza i Kościuszki. Brały w nim udział zespoły architektów z całego kraju. I nagrodę, przeznaczoną do realizacji zdobył warszawski arch. Krasinski współpracownik arch. Hryniewieckiego przy Stadionie 10-lecia i Supersamie.

Na zorganizowanej wtedy wystawie prac konkursowych zapoznałam się z tym projektem. Będzie to jeden z pierwszych w Łodzi budynków o rzeczywiście nowoczesnej architekturze. Nie wiem komu zawdzięczamy genialny wręcz pomysł pozbawienia 700-tysięcznego miasta jednego choćby wielkiego Domu Towarowego — ale miejmy nadzieję, że dołączymy się do tego budowanego na Pl. Niepodległości.

Nie mniejszą „wdzięczność” należy się także sprawcom odfiarowania miastu imponującej budowli pod nazwą (nie wiadomo dlaczego) „Balaton”, budowli wywołującej zdumiewającą zgodne opinie zarówno u ludzi o zachowawczych gustach, jak i u zwolenników nowoczesności, u laików i znawców. Jak na lekcję, jak nie powinno się budować, to chęć to na nasze warunki za drogę.

Jedno w tym wszystkim pocieszające, że buduje się jednak coraz więcej. Wprawdzie Teatr Wielki doznał się jeszcze niejednego jubileuszu roz poczenia budowy, ale mamy Bibliotekę Uniwersytecką, jakiej nie ma Warszawa, wprawdzie Filharmonia wciąż nie może się doczekać nowej elewacji, ale zorganizowano ją jako przestrzeń przed nią.

Dane statystyczne z 1960 nie nastrojają optymistycznie. Aż 39,3 proc. ludzi mieszka w mieszkaniach przeludnionych, w tym w skrajnie przeludnionych 7,8 proc.

Ludzi, korzystających z tak zdawaloby się elementarnego standardu, jakim jest gaz, łazienka, elektryczność i woda jednocześnie, jest zaledwie 35,2 proc. Ale od 1960 r. wskaźnik nikt nie uległ zmianie na korzyść i wciąż poprawiają się. Nawet najwięksi malkontenci muszą przyznać, że paradoksalne oblicze miasta okresu pierwszych lat po wojnie — na które składały się solidne kamienice czynszowe obok drewnianych parterowych domków tkaczy, fabrykanckie pałacyki obok ohydnych „famul” — zmienia się powoli, ujednolica. Niedługo drewniak tkaczy znikną zupełnie — ostatni lokatorzy fabrycznych domów wprowadzą się do nowych osiedli. Miasto zyska no wy wyraz, a przybysze z innych miast i lokalni utyskiwacze stracą asumpt do protekcyjnych sadów i utyskiwań.

MALGORZATA
KUCZYŃSKA



Fot.: E. Kudaj

stycznych, ośrodków, w którym ogniskowałyby się życie społeczne mieszkańców.

Istniejące obecnie centrum odznacza się najgorszymi warunkami klimatyczno-zdrowotnymi, najcięższą zabudową, warunkami urągającymi bezpieczeństwu pożarowemu. Obecnie, na terenie Śródmieścia mieszka 260 tys. ludzi, plany przewidują, że mieszkańcy tu będzie tylko 150 tysięcy.

BUDOWNICTWO MIESZKANIOWE

Jednym z pierwszych osiedli na poziomie, wnoszących nowe wartości do architektury miasta jest Zubardz — osiedle projektu architekta Dworcza i konstruktora Nowickiego. Rozłożone na przestrzeni 40 hektarów skupia 16 tysięcy mieszkańców. Osiedle składa się z budynków pięciu i dwunastokondygnacyjnych

chwytym urbanistycznym jest podkreślenie ośrodka usług, handlowych wysokościowcami. Układy mieszkań są różne. Niemadzyżajne w jednostkach M-3 (trzech lokatorów), gdzie do wszystkich pomieszczeń (łazienka, kuchnia, drugi pokój), wejście jest z pierwszego pokoiu. Dobre w jednostkach M-5. Bolączką największą jest wykańczanie, wciąż co najmniej niedokładne. Na osiedlu Dąbrowa tak fatalne, że woda lala się przez ściany do mieszkań. Można wiele słów pochwały wypowiedzieć na temat układu mieszkań ale najbardziej nawet elastyczny i ciekawy rozkład nie skompensuje „pofalowanej” posadzki czy woda ociekających ścian.

Ponieważ jednak na osiedlu tym zastosowano szczególnie dobry układ, przedstawiamy go pokrótce naszym czytelnikom. Wchodząc z klatki schodowej znajdujemy się w hallu, z którego są wejścia do obu pokoi, w. c. i trzo

mach uzyskanie tej elastyczności jest sprawą ogromnie trudną.

Widać z tego, że rozwiązania funkcjonalne budynków są w naszych osiedlach prawdziwe, czasem nawet nowatorskie, że architekti kierowali się troską o człowieka, który będzie w nich mieszkał. Na całej linii nawala natomiast wykańczanie i plastyczny wyraz budynku. Wciąż kwitnie u nas fuszerka, tandeciarstwo, robota „byle zbyć”. Ile strat z tego wynika, ile niepotrzebnego utrudniania ludziom życia, każdy wie. Nie lepiej także wyglądają sprawy organizacyjne niektórych osiedli. Tak więc Osiedle Młodych pozbawione było gazu — aż wstyd napisać jak długo. A punktów usługowych jak nie było, tak nie ma. A przecież są osiedla, mające sklepy wszelkich możliwych branż, a nawet szkołę i przedszkole. Sprawy te są więc jak widać do zrealizowania.

informacje
i zaczepki

Oto jak wygląda zestawienie kwot wydatkowanych przez poszczególne województwa na zakup książek w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Łódź znajduje się w tym zestawieniu na trzecim miejscu... od końca (1,27 zł), woj. łódzkie — na drugim miejscu... od końca (1,18 zł). Wypredzamy woj. katowickie o 5 gr, natomiast nas wypredza woj. warszawskie o 11 gr. Na pierwszym miejscu znajduje się Szczecińskie z sumą 2,81 zł. „Odgłosy” wstrzymują się od komentarza.



Dowiedzieliśmy się niedawno, że sławny (czy ostawiony) bar „Rekord” przy ul. Piotrkowskiej zamieniony zostanie na cocktail-bar. Wydawałoby się — europejska nowość. A przecież cocktail w „Rekordzie” pije się już od lat. Są to co prawda mieszanki piwa, wódki i wina owocowego, przyrządzane przez samych klientów w tajemnicy przed personelem. Zawsze to jednak było nie było cocktail.



Łódzki foto-amator p. Andrzej Celchowski otrzymał nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki na konkursie fotograficznym Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.



Bardzo operatywne Muzeum Włókiennictwa przygotowuje nową, ciekawą ekspozycję poświęconą tym razem sztuce rękodzielniczej Republiki Estońskiej. Na wystawie znajdziemy nie tylko tkaniny, ale także ceramikę, wyroby skórzane, a nawet srebrną biżuterię.



Niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazuje się interesująca praca Adama Cieśniewskiego na temat łódzkiego środowiska akademickiego w pierwszym powojennym okresie. Jeśli chodzi o publikacje innych opracowań łódzkich naukowców, to WL planuje też wydanie pracy Grzywdy Misłowej na temat powstania przemysłu w okręgu łódzkim.



Spółdzielnia Pracy „Buzra” w Leczyce odmówiła pomocy finansowej Uniwersytetowi Powszechnemu, mając jednocześnie 130 tys. złotych nie wykorzystanych w ubiegłym roku na działalność kulturalną. O tej istnej bzdurze w „Buzrze” pisze w „Polityce” Wojciech Jankowerny. Artykuł traktuje o pracy Uniwersytetu Powszechnego na przykładzie pow. łęczyckiego.

J. W.

odgłosu str. 5

„Sen”

Zosi i Tadeuszowi Lawnickim
Cygan ginie na wzgórzu Przemieniony z wilka
Pada od ciosu głazem na spulchnioną ziemię
Na czarnym stoku góry

(Słońce jasno świeci)
Trzasku czaszki nie słychać Podnosi go Człowiek
I kładąc mu rękę na górnej kieszeni
Niepewnie stwierdza że Cygan nie żyje
(Rano wyszliśmy z miasta z cebrami na wodę
I szliśmy długo aleją z topoli
A dzień był piękny bardzo

Na przemian z kobietą
Niosłem małą dziewczynkę śmiejącą się w słońce
I szliśmy tak długo raz w słońcu raz w cieniu)

Początek morderstwa
Na tej małej grobli
Spotkaliśmy wilka młodego włóczęgę
Stał chlepcząc wodę

W uniesionej głowie
Była gotowość bólu
(dziecko na tej grobli
Podnosząc twarz w słońce śmiało się promiennie)

A my po drugiej stronie znaleźliśmy kamień
(Oto narzędzie zbrodni To dowód rzeczowy
Chmury nad topolami już ciągną na sąd
Ja stanę przed tym sądem bez poczucia winy
Mówiąc w obronie własnej)

Zmniejszony przez wodę
I gładki pod palcami
ze mną był mężczyzna
Razem z nim się uczyłem arkanów tej walki
(Ja tej przemiany nie wiem

Nie widziałem skóry
Włóczęgę która opadła z Cygana
Ja tej przemiany nie wiem

Książka czarnoksiężka
Przypadkiem wpadła w ogień kiedy byłem dzieckiem)

Biegnie przed nami Cygan Ołaczamy wzgórze
Ja dopędzam go pierwszy i podnoszę kamień
Bije kamieniem w głowę czarno zarośniętą
A on umiera miękko obojętnie
Przez chwilę dysząc w zaoraną ziemię
(Powie kobiecie teraz że zabiłem we śnie
Ale że chciałem zabić w obawie przed bólem
I że stanę przed sądem bez poczucia winy)

Na wzgórzu ginie Cygan przemieniony z wilka
Pada od ciosu na czarny stok wzgórze
Słońce wciąż jasno świeci Śmieje się w nie dziecko
Październik, 1962

WERSZE „morskie”

I.
A oto znów nadchodzi pora powracania
Pora muzyki dziwnej Zjednoczenia z morzem
Znowu tutaj jesteśmy Jeszcze tacy czyści
Wysuszamy na wietrze skórę rąk i ramion
My Nie skażeni piaskiem Ciągłe jeszcze nie tu
Nad tą falą pod mewą na brzegu muszelki

II.
Czego czekamy rano
Obudzenia w ciepłe
Wspomnienia po zaśnięciu
Czy lotu jaskółki
Wszystko jest takie samo
Jak zielona woda

III.
Woda jest włóknem wiatru Zanurzeni w wietrze
Patrzmy przez zieleność Oddychamy słono
I roślinie w nas dno morskie Piasek sfalowany
I roślinie w nas płasek Wyrasta wodorost
Wyrasta w nas to wszystko co w nas nie zasiano

O zanurzeni w wodzie Zieleni oddechem
O zjednoczeni z morzem Zjednoczeni z rybą
My właśnie tak jak ryba My tak jak wodorost

IV.
Oto jeszcze jesteśmy Czyści znów jak kryształ
Woda się w nas przegląda w której zatoniemy
I w której nas nie będzie Nas tu nigdzie nie ma
W płasku w wietrze i w ogniu i w żadnym żywiole
Nie będzie nas także w każdej barwie świata
Nie będzie w nas oddechu W technieniu nas nie będzie

A gdy spłoszone falą poderwą się mewy
Nie będzie nas także w przerażeniu ptaków

V. (Komentarz prozą)
A co pozostanie na ludzkich łowiskach
Na ludzkich łowiskach

To strzępy człowieka
Białe listy
Białe włosy
Rąbek brudnej bielizny
Kawałek bibułki
Świadczenie nocnych zmagani
Skreślony trup osy na wydmie w trawie suchej
Zawieje to wiatr wszystko
I zabierze woda

Sierpień, 1962 r.

W grudniu ubiegłego roku minęło 25 lat od śmierci Andrzeja Struga. W ciągu tego ćwierćwiecza, tak obfitego w niezwykle zdarzenia i rewolucyjne przemiany, wiele ważnych niegdyś zjawisk i wiele szacownych niegdyś nazwisk uległo ogniowej próbie gruntownej weryfikacji, nie rzadko przykrej dewaluacji, a nawet zupełnej eliminacji z życia. Wśród tego oczyszczającego procesu dziejowego zostały się dziś tylko wartości niewatpliwie, aczkolwiek nie zawsze głośne i popularne. Do nich należy życie i dzieło Andrzeja Struga.

Wobec tego nie od rzeczy będzie przypomnieć, kto to był, co zrobił i jakie znaczenie ma dla nas to, co zrobił Andrzej Strug? Nazywał się właściwie Tadeusz Gałecki i urodził się 28 listopada 1871 roku w rodzinnym majątku Konstancynówce pod Lublinem. Był synem powstańca z roku 1863, który potwierdzał wcześniejsze rodzinne tradycje patriotyczne i rewolucyjne późniejszego pisarza. Pseudonim literacki Andrzeja Struga, pod którym zastąpił jako pisarz, przybrał Tadeusz Gałecki dopiero w wraz z ukazaniem się w druku jego pierwszych utworów. Nie jest to zresztą jego jedyny pseudonim. Zanim bowiem został pisarzem czyli Andrzejem Strugiem, był przedtem długoletnim działaczem polskiego podziemia rewolucyjnego, znanym pod konspiracyjnymi przezwoiskami „towarzysza Augusta”, „Kudłatego” i „Andrzeja Galicy”. Trzeba bowiem zaznaczyć, że od lat gimnazjalnych należał do młodzieżowych organizacji postępowych, a jako student wstąpił do powstałej w roku 1892 Polskiej Partii Socjalistycznej, której czynnym członkiem był aż do śmierci.

Działacz poprzedził w Tadeuszu Gałeckim pisarza czyli Andrzeja Struga. Za konspiracyjną działalność oświatową wśród studentów i za agitację na rzecz socjalizmu został w grudniu 1895 roku przez władze carskie aresztowany i osadzony w tradycyjnej już stolicy polskiej martyrologii — w warszawskiej Cytadeli. Było to poniekąd nobilitacją dla młodego działacza. W celach tej Cytadeli jak wiadomo, więzieni byli tacy nieustraszeni bojownicy o niepodległość i związani z nią postępowi, jak Walerian Łukasiński, Romuald Traugutt i Ludwik Waryński. W Cytadeli, nekany licznymi śledztwami i przestuchaniami, przesiedział Tadeusz Gałecki półtora roku. Orzeczeniem sądu skazany został jako „niebezpieczny wywoławca” na trzy lata zesłania do Archangielska. Ta Cytadela i ten Archangielsk, trwające w sumie blisko pięć lat, były dla przyszłego pisarza prawdziwym uniwersyte-tem ideowym i moralnym, surową szkołą niezłomnego charakteru. Przyszły Andrzej Strug nie zmarnował tych trudnych lat osobobnienia. Oddał się zapalczywym studiom socjologii, filozofii i literatury. Poznał dogłębnie dzieła Marksa, Plechanowa i Dostojewskiego. Gdy wrzeszczył w roku 1901 wraca z zesłania, zmuszony jest wskutek ustawicznych szykan carskiej zandarmierii przenieść się z Warszawy do Krakowa. W zaborze austriackim istniała pewna swoboda, zwłaszcza w zakresie życia narodowego. Czynny był oficjalnie Uniwersytet Jagielloński. Przeszło trzydziestoletni już Tadeusz Gałecki postanawia teraz systematycznie dopełnić swą amatorsko dotąd zdobywaną wiedzę i zanisał się w roku 1902 na wydział filozoficzny krakowskiej Alma Mater. Studia te trwały trzy lata, przerwane wybuchem rewolucji 1905 roku w zaborze rosyjskim.

Mimo że w okresie studiów krakowskich Tadeusz Gałecki coraz bardziej zbliżał się do literatury, pisząc utwory publicystyczne i rozprawy krytyczno-literackie, spośród których wyróżniał się obszerny i gruntowny szkic o twórczości Stefana Żeromskiego, to jednak działacz społeczny i konspirator w nim przeważał. Wraca potajemnie do Warszawy, aby wziąć czynny udział w ówczesnym ruchu rewolucyjnym, a tymczasem jego praca o Żeromskim, wydana we Lwowie odniosła wielki sukces i zasygnalizowała narodzin nowego w literaturze polskiej pisarza. Odtąd już aż do samej

śmierci nie wypuszcza pióra z ręki, mimo że nie rezygnuje także z działalności społeczno-politycznej. Ale w społeczeństwie coraz bardziej staje się znany jako pisarz czyli Andrzej Strug, niż jako nie mniej czynny i ceniony działacz Tadeusz Gałecki. Do historii literatury polskiej przejdzie na trwałe pod imieniem Andrzeja Struga. Aresztowany po raz wtóry w połowie roku 1907 za udział w rewolucji i skazany na wyjazd za granicę, Andrzej Strug udaje się do Paryża, oddając się odtąd całkowicie pracy literackiej. Zahiipnotyzowany twórczością Stefana Żeromskiego i Teodora Dostojewskiego, rozpoczyna szereg opowiadań i powieści, które staną się wier- nym świadectwem dziejów naszych, ich rewolucyjno-patriotycznego nurtu w okresie od 1905 roku do przedednia drugiej wojny światowej.

W Paryżu napisał kilka książek, które stanowią próbę oceny i podsumowania niedawnych wydarzeń rewolucyjnych. Jest to zbiór o-

powiadań „Ludzie podziemni”, powieści „Jutro” i „Dzieje jednego pociągu”, które ukazały się kolejno w roku 1908, 1909 i 1910. Tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej na wieść o tworzeniu przez Józefa Piłsudskiego, swego dawnego towarzysza z PPS, oddziałów zbrojnych do walki o niepodległość, wraca Andrzej Strug do Krakowa, wstępuje do Legionów i jako ułan Beliny bierze udział w pierwszych bitwach rozpoczętej wojny. Po zakończeniu wojny, a zwłaszcza po przewrocie majowym, rozchodzi się na zawsze z obozem Piłsudskiego i jako czynny działacz PPS, a nawet senator z jego ramienia stanie w ostrej do niego opozycji.

W okresie międzywojennym Andrzej Strug jest również czynnym działaczem jak i pisarzem. Ukazujące się teraz prawie co rok nowe tytuły jego książek nie przeszkadzają mu w pracy społecznej. Przez pięć lat, począwszy od roku 1921, piastuje godność prezesa Związku Literatów Polskich. Z ramienia PPS zostaje senatorem. Miewa liczne wystąpienia publiczne i odczyty. Swą przynależność do PPS traktuje lojalnie, ale nie dogmatycznie. Socjalizm widział nie tylko w organizacji, do której należał. Współpracował chętnie, gdy tego wymagały okoliczności w jednolitym frontie ludowym z KPP, z MOPR (Międzynarodowa Organizacja Pomocy Więziom Politycznym), a pod koniec dwudziestolecia międzywojennego, w okresie wznoszącej się fali nacjonalizmu, faszystwu i antysemityzmu, bardzo żywy udział bierze w działalności Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Na znak protestu wobec bierności ówczesnych władz w stosunku do tych groźnych objawów odrzuca w roku 1933 ofiarowaną mu przez sferę rządzących godność członka Polskiej Akademii Literatury, od syła także wszystkie oficjalne ordery i odznaczenia, prócz zdobytej w Legionach najwyższej odznaki wojskowej „Wirtuti Militari”. Nierozważny związek patriotyzmu z socjalizmem jest stałą cechą wyznania ideowego i działalności społecznej Andrzeja Struga. Nie tedy dziwnego, że stał się postacią popular-

na i szczególnie bliską sercu klasie robotniczej, całemu światu pracy w Polsce międzywojennej. Wyrazem tego były nagrody literackie, jakimi obdarzył Andrzeja Struga dwa największe ośrodki ruchu robotniczego w Polsce, Śląsk i Łódź. W roku 1927 otrzymał nagrodę miasta Sosnowca, a w roku 1933 nagrodę miasta Łodzi, z którą liczne dotąd związki jego pisarstwa, zwłaszcza z okresu walk w roku 1905, pomnażają się teraz o częste kontakty osobiste pisarza z naszym miastem w formie odczytów publicznych i występów autorskich. Niestety, zbyt intensywna praca literacka i działalność społeczna Andrzeja Struga, coraz liczniejsze ataki na niego zorganizowanych grup reakcji i wsteczności, podkopują jego zdrowie i tak już nadwatłone łatami walk w podziemiu, latami więzień i twardej służby wojennej w Legionach. Nie pomogła crucialna opieka i pełne oddanie poświęcenie najbliższej przy-

jać i Bolesław Prus („Dzieci”), ale wśród nich jedynie Andrzej Strug był nie tylko naczynym świadkiem, ale i bezpośrednim, ideowo zaangażowanym, uczestnikiem tej rewolucji. Znały uczony polski, nie żyjący już prof. Manfred Kridl, nazwał Andrzeja Struga „poetą polskiej walki podziemnej z caratem. Świat ten — mówi Kridl — którego dotykał niekiedy Żeromski, ale rzadko brał go jako głowę zagadnienie swoich dzieł, stał się w okresie twórczości Struga, przypadającym na ten okres, naczelnym jego tematem. „Ludzie podziemni” to bracia duchowi „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego, tylko działający w warunkach znacznie cięższych i niebezpieczniejszych. To jedyni ludzie, walczący dosłownie, nie przenośnie, fizycznie nie tylko duchowo o sprawę Polski i ludu polskiego, ponoszący też fizyczne, nie tylko duchowe, konsekwencje swej walki. Gniją latami w więzieniach, niszczeni w katogach, są wieszani pospół z bandytami, nawet przez część własnego społeczeństwa uważani są za zbrojnych. Kiedy działają jeszcze na wolności, są dosłownie, a nie przenośnie bezdomni, nie mają nie tylko własnego mieszkania, ale nawet własnego kąta, codziennie nocują gdzie indziej, aby tym skuteczniej zatrzeć ślady przed tropiącą ich policją. Potrzeby ich osobiste zredukowane są do minimum, nie wymagają ani nie potrzebują niczego, bo przecież w każdej chwili czeka ich aresztowanie, sad i stryczek. To rycerze najbardziej bezinteresowni, najbardziej nieznani i ukryci przed światem, pozabawieni wszelkiej sławy, a nawet pamięci poza szczupłym kołem najbliższych towarzyszy. Żeromski poświęcił tym działaczom i bojownikom klasy robotniczej przepiękny, bolesny, izami i krwią ociekający poemat „Sen o szpadzie”. Strug pokazuje ich w życiu, w pracy, w działaniu i walce. Tworzy nie tylko dzieło literackie, ale i dokument historyczny, bolesny i wzniósłe posłanie do społeczeństwa, apel do tych, co żyją życiem normalnym, aby przynajmniej wiedzieli, aby pamiętali i uświadomili sobie, kto i jak walczy za nich i dla nich. To już nie jest właściwie literatura i trudno do tych rzeczy przykładać miarę sił literackich, bo cele ich, zadania, a częściowo i środki wyrazu są inne”. Dodajmy od siebie, że w tych utworach, to znaczy w „Ludziach podziemnych” a zwłaszcza w „Dziejach jednego pociągu” wiele scen i wypadków dzieje się i rozgrywa na terenie naszego miasta.

Drugim zasadniczym tematem w twórczości Andrzeja Struga, jest problem legionowy i niepodległościowy, przed stawiony w takich utworach, jak „Odnazka za wierną służbę” z roku 1920, „Mogła nieznanego żołnierza” z roku 1922 i „Pokolenie Marka Swidy” z roku 1925. Mówią one o rozczarowaniu pokolenia, które walczyło o niepodległość, a kiedy ją osiągnęło, nie potrafiło jej nadać właściwego społecznego sensu. Znaczącym zbiegiem okoliczności „Pokolenie Marka Swidy” ukazało się akurat w tym samym czasie, co „Przedwiośnie”. Podobnie jak Żeromski Andrzej Strug mówi w swym dziele o potrzebie wielkiej idei w Polsce, ale w przedwiośnie” wskazuje wyraźnie, że jest nią socjalizm.

Ideowym niejako zwornikiem między utworami o temacie 1905 roku a utworami o temacie niepodległościowym była powieść Andrzeja Struga z roku 1911 p. t. „Ojcowie nasi”. Jest to jedna tego autora powieść historyczna na temat Powstania Styczniowego z podkreśleniem udziału w nim chłopów i dominującej roli stronnictwa Czerwonych, z których grona wyszli niebawem stwinni przywódcy Komuny Paryskiej, Jarosław Dąbrowski i Walery Wróblewski. W ten sposób Andrzej Strug pokazywał ideowe źródła ruchów robotniczych w roku 1905 i dialektycznych powiązań z nurtem walk niepodległościowych, w których interes ludowy stawał się warunkiem realizacji celu narodowego.

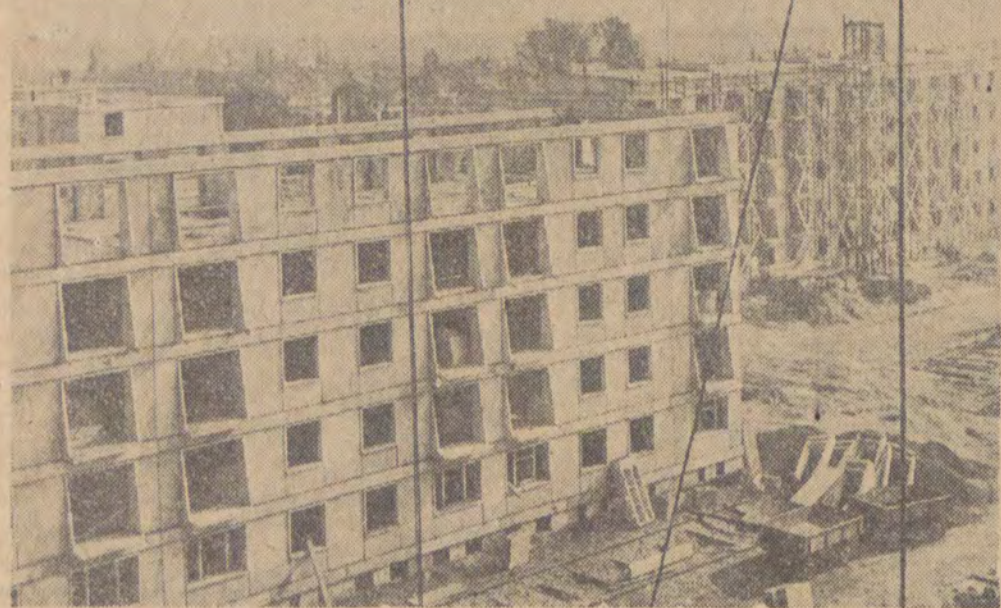
Trzecim zasadniczym tematem w twórczości Andrzeja Struga, jest problem wojny i pokoju, który najwybitniejszy wyraz znalazł w formie



Andrzej STRUG pisarz i socjalista



ŁÓDŹ W JAKIEJ ZYJEMY



Dokończenie
ze
strony 1

Jak tu żyć,

Czy pani
mieszka sama?

panie przewodniczący?

sprawami, ale przecież i on przyszedł tego dnia w sprawie mieszkaniowej. Niech mu władza da jak najlepsze mieszkanie, jeśli zasługuje, ale mnie nie o to chodzi. Sądzę, że ten działacz na polu kultury myśli tak: może jeszcze nie czas — w obliczu tylu potrzeb społecznych, wobec wołania — „dajcie mieszkanie!” — na zajęcie się sprawą podnoszenia kultury w dzielnicy?

Interesant z interesantem, rozmowy przerywają telefonami, czasem dzwonią oba naraz. Przewodniczący podnosi najpierw jedną słuchawkę, potem drugą, ale nie traci ani na chwilę kontaktu z interesantem. W ciągu całego „dnia przyjęć” tylko raz przewinęła się przez telefon tzw. sprawa prywatna przewodniczącego.

— Nie, dzisiaj nie mogę do was wpaść... W sobotę? Chole-
ra, w sobotę chcemy wreszcie pójść z żoną na operetkę, bo to jedyny wolny wieczór w tym tygodniu.

Jak tu żyć, panie przewodniczący?

— Jestem w planie 65 roku, tak długo mam czekać? Jak tu żyć, panie przewodniczący? Tak, metraż mam przepisywany, ale w domu grzyb, nikt u nas nie śpi, bo dziecko płacze... Ma być u nas remont? Nie opłaci się, jestem technikiem, to się znam. Czy nie można by wcześniej, do bloków? Zona wyjechała do matki na wieś, bo nie mogła już wytrzymać i jak tak dalej będzie, to małżeństwo runie w gruzach. Tak, tam na was to własność testowej, ale niewiele tego, panie przewodniczący...

Zyceliwosc przewodniczącego to rosła, to znów słabła. Gdy usłyszał słowa: grzyb, reumatyzm — poradził udać się do komisji lekarskiej. Jej opinia, jeśli będą podstawy, może przyspieszyć załatwienie sprawy.

— Pisał w gazecie, że ludzie na Bałutach grymaszą, ja przyjmę każde mieszkanie w blokach.

Ale gdy przewodniczący mógł o komisji lekarskiej, podkreślając, że trudna sytuacja dzieci z pewnością zostanie wzięta pod uwagę, bo państwo troszczy się o młode pokolenie, interesant zmienił zdanie o prasie, na którą się dopiero co powoływał:

— Panie przewodniczący, to tylko tak pisać...

Słucham i odnoszę wrażenie, że ludzie powołują się na oficjalne opinie, na prawdy, tylko w zależności od własnego interesu, żaden inny interes ich nie obchodzi. Więc i przewodniczący musiał zauważyć:

— No, wie pan, jeśli po 18 latach pan tak mówi, to ja nie wiem, na jakim świecie pan żyje...

Interesantka. Jej wejście powiedziało przewodniczącemu widać wiele, bo jeszcze zanim usiadła, połączył się z kwatrującym.

— Sprawa trudna — mówił przez telefon — Kochanówka twierdzi, że to może potrwać dłużej, jeśli nie damy mu lepszych warunków mieszkaniowych. Trzeba to wziąć pod uwagę, bo może spalić cały dom, a chałupy drewniane; już dwa razy usiłował podpalić.

A do interesantki:
— Proszę pójść do kwatrującego, postaramy się przyspieszyć sprawę.

Teraz znowu dwie młode kobiety: właścicielka mieszkania i jej sublokatorka.

To ta pani — oświadczyła właścicielka. — Dom do rozbioru, panie przewodniczący, ja dostanę przydział, a co ona? — Czekam tyle lat — mówi sublokatorka.

— Przecież pani nie ma przydziału na mieszkanie — na to przewodniczący — czy wprowadzając się, nie wiedziała pani, że wprowadza się do rudery, która w każdej chwili może być rozebrana?

I jeszcze ktoś z domu przeznaczono do rozbioru. Interesantka chciała wiedzieć, kiedy znajdzie się na liście.

— Pani tam sama?

— Tak, sama.

— A mąż?

— Na mieszkaniu u rodziny.

— Macie państwo rozwód?

— Nie...

— To znaczy... życie ze sobą, tylko nie mieszkacie razem?

— No tak...

Chwila milczenia. Interesantka jednak pewnie teraz rozważa, czy wszystko dobrze powiedziała przewodniczącemu, może w jej odpowiedziach była jakaś luka, która może zawazyć na decyzji?

— Nie będę kłamać... — mówi raptem, przerywając milczenie — mąż siedzi.

— Za co?

— Za pobicie. Wie pan, z kolegami...

— Dużo dostał?

— Trzy i pół roku.

— To ładne pobicie...

Dokąd pójść ze swoją biedą?

Młody człowiek z familijków.

— Miałem w tym roku dostać przydział, ale słyszałem, że w bloku niedaleko dozorca nie omiata, więc jakby go zwolnili, to ja bym objął dozorstwo i zajął jego mieszkanie...

— Proszę zwrócić się do MZBM na Nowotki, do dyr. Urbaniaka. Oni załatwiają sprawy dozorców w blokach. Z kolei interesant rozezcierał się, brudny, w butach z chole-

wami. Usiadł ciężko i czeka, wodząc oczyma po pokoju.

Wyrzuciła go z domu właścicielka gospodarstwa rolnego z Widzewa. Najpierw umówiła się, że da wikt, opierunek i 800 zł miesięcznie, a teraz u regulowawszy należność tylko za dwa miesiące — wyrzuciła.

Gdy wczoraj zjawił się w gabinecie przewodniczącego, ten myślał, że interesant jest pijany. Stanął na nogach i mówił od rzeczy. Dopiero później wydawało się, że młody człowiek stanął się głodu, od dwóch dni nie jadł, dwa dni trwał, zanim dowiedział się, dokąd ma pójść ze swoją biedą. Następnymi mu te roboty znajomi z rodzinnej wsi Krzepów w powiecie piotrkowskim, a teraz znalazł się głodny i sam w wielkim mieście, bez żadnej pomocy.

— Dalem mu, gdy się zjawił, 10 złotych na śniadanie — powiedział mi później przewodniczący. — Gdy zjadł kaszankę, zwał się z nóg i zaraz zasnął.

— A co chcecie teraz z nim zrobić?

— To, co możemy — damy na bilet do miejsca zamieszkania, skąd przybył, a tej polnicze wypadłoby może utrzyć nieco nosa.

Czy wszystkim można wierzyć?

Ale czy wszystkim można wierzyć? Niedawno w pokoju przewodniczącego, zjawiła się schorowana kobieta z dzieckiem na ręku. Dziecko miało ostre zapalenie ucha środkowego, matka w łachmanach, że aż serce się ścisnęło. Z opieki społecznej telefonowano uprzedzając przewodniczącego, że to pijaczka, to co dostanie zaraz przepija, więc przewodniczący „nusił się dobrze zastanowić, co ma robić. Ale przekonała go rzeczywistość, która oglądał: lzy, stan dziecka, straszliwe zaniedbanie kobiety, więc gdy dowiedział się, że właściwie chodzi tylko o pieniądze na wykupienie recepty, którą kobieta miała przy sobie, zdecydował się zaryzykować. Wyłożył własne pieniądze (180 zł), a że nie miał nikogo pod ręką kto by poszedł po lekarstwa, wręczył całą kwotę nieszczęśliwej matce.

W dwie godziny później zadzwonił na biurko przewodniczącego telefon. Dzwonił komendant MO z dzielnicy:

— To wyście dali te pieniądze? Ta baba leży pod stołem w knajpie... Więc oświecała miała rację.

Pochwała patriotyzmu

Na Nowej, na Przedzalananej, Kazimierza, w wąskich ciasnych uliczkach ludzie się już cieszą, bo domy idą do rozbioru. Ale nie wszyscy cieszą się, bo DBOR wyznacza do rozbioru tylko te domy, które są mu aktualnie potrzebne pod nowe, zaprojektowane już bloki.

Więc i ta interesantka z Kazimierza 18 jest niepokieszona.

— Dlaczego akurat ja mam tak długo czekać?

— To sprawa DBOR. Od niego dostajemy izby zastępcze w blokach, on decyduje, która ruderka i kiedy ma być rozebrana.

— A jak przyjdzie kolej na mój drewniak, to może już nie starczy dla mnie bloków na Widzewie i wypchnięcie mnie gdzieś do miasta, a ja chcę tu zostać, na Widzewie...

Chcą zostać na Widzewie ludzie związani z dzielnicą, może i zakochani w niej mimo biedy ciągnącej się przez pokolenia. I tu pochwała widzewskiego robotnika; to on wykazuje najczęściej lokalnego patriotyzmu. Widzew zawiódł się na inteligencję. Gdy swego czasu organizowano ośrodek zdrowia na Widzewie, niektórych lekarzy trzeba było zatrzymać siłą. Inteligencja chciała do miasta, może dlatego, że Widzew był zamknięta metropolią bez możliwości wyjscia się kulturalnego. A gdy jeszcze przez lata całe nie można było zorganizować własnego budownictwa (problem wody, kolektora kanalizacyjnego) Widzew zaczął się wydłubnąć mimo przrostu naturalnego. Przecież takie Stoki były nawet reikordy nie tylko Łódzkie, ale

niezaczemu, ani kwatrującemu na Widzewie.

— Niech pan zrozumie, że nie wszyscy mogą mieszkać w blokach.

I sybie przewodniczący liczy: do 1965 roku dzielnica otrzymała około 1600 mieszkań w blokach, a że podań załatwionych jest cztery razy tyle, więc tylko co czwarto dostanie mieszkanie w nowym budownictwie. Może po 1965 roku będzie lepiej, ale na razie trzeba dzielić to co jest.

Młodemu człowiekowi nie można tego jednak wytłumaczyć że z każdej czwórki widzewiników pójdzie do bloków tylko jeden, a mianowicie ten, który w porównaniu z tamtymi trzema ma największe zasługi: dla miasta, dla dzielnicy, dla gospodarki narodowej i najlepsze warunki mieszkaniowe. Więc ważne jest i to, ile lat kto pracuje, bo to nowe budownictwo jest właśnie nie z czego innego jak z wyników pracy, a nie z nieba.

— Teraz mam szansę żyć jak człowiek — powtarza niezmiennie interesant — to mi chcecie dać w starym domu.

Tylko w blokach?

A zresztą — jeśli dżoków tak mało, trzeba ostrożnie przydzielać. Już w tej chwili i to w dwu wypadkach zdarzyło się, że mieszkańcy widzewskich bloków („nie widzę życia poza blokami”, „tylko w blokach mogę żyć jak człowiek”) zwrócili się do opieki społecznej o pomoc: proszą o zapomogi na komorne i utrzymanie... No, bo sytuacja ludzka się zmienia i pozycja luksusu może stać się z czasem gorzkim utrapieniem. Tylko starzy widzewiaczy są skromni. Na przykład taki Józwiak z Niskiej.

więc sytuacja, w jakiej pracuje Rada jest szczególnie ciężka. A tu jeszcze trzeba czasem walczyć z ludzką bezczelnością. Odwiedził przewodniczącego pewien człowiek obarczony czworogiem dziełem i mieszkający, jak wynikało z akt, w komorze obitej papą. Więc żeby przyspieszyć załatwienie całej sprawy, na wizję lokalną wybrał się sam przewodniczący. Owszem, komórka była, ale gdy przewodniczący to stwierdził, między komórką a kamienicą obok zebrał się tłum lokatorów. Przywiodła ich jednak nie tylko ciekawość. Bo oto, gdy przewodniczący za komunikował, że w tej sytuacji przysługę szybciej załatwi sprawę, wybierano już delegację, która miała pójść do rady. I okazało się, że ten człowiek, któremu za dzień — dwa miano wręczyć klucze do nowego mieszkania w blokach, ma pod Łodzią 18 ha ziemi i niebrzydka wille...

Inna interesantka, która rów nież umieszczono w planie przydziału dopiero co sprze dała duże gospodarstwo rolne i czekała tylko na mieszkanie w blokach, by puścić w ruch kilkaset tysięcy zł, które otrzymała ze sprzedaży.

Sprawa polega na świadomości

Siedzę w gabinecie przewodniczącego i słucham. Dochodzę przy tym do wniosku, że wagi i ostrości dodają sprawie mieszkaniowej często sami ludzie. Kwestia mieszkaniowa ro dzi się różnie: władza musi dać natychmiast mieszkanie żonie, bo mąż ją bije, a przede wszystkim żona, że powstał problem przydziału mieszkania w sytuacji gdy mąż... nie bij żony. I ta żona w wszystko robiła, by mąż

i krajowe w zakresie przyrostu ludności.

W 56 roku mieszkało na Widzewie 42 tys. ludzi, a w 59 już tylko 39, ludzie odpływali wraz z kluczami do mieszkań, które otrzymywali w innych dzielnicach. Dopiero ostatnie lata zahamowały wydłubanie się Widzewa, bo gdy wystrzeliły w górę pierwsze bloki, do szedł do głosu patriotyzm widzewski i nie tak łatwo dziś człowieka wypchnąć do miasta. Tym bardziej że patriotyzm ma dobre perspektywy — do 1980 roku stanie tu tyle nowych domów na Stokach, na Zarzewie, Armii Czerwonej, że za 17 lat będziemy mówić o Widzewie 130-tysiecznym.

To dobre kryteria

Już teraz, choć budownictwo widzewskie dopiero raczkuje, wszyscy chcą do bloków. W dzielnicach o większym niż Widzew doświadczeniu blokowym, często słyszy się, że niektórzy się na nich sparzyli i chętnie zamieniają się na stare budownictwo, ale tu — na Widzewie urok bloków jest tak wielki, że ludzie sobie już życia poza nimi nie wyobrażają.

— Powiedzieli mi, że nie do stanu mieszkania w blokach, bo za krótko pracuję — przed stawia właśnie przewodniczącemu swoją rozpacz młody człowiek o minie nie zwia- stujacej spokoju ani przewod-

— 50 lat mieszkam na Widzewie — mówił komisji lokalnej, która zamierzała wreszcie na stare lata dać człowiekowi godziwy dach nad głową — więc może nas kłopotować się tak bardzo z mojego powodu.

I jeszcze powiedział, że na te bloki wszyscy się teraz rzucają, on zaś chce tylko jakiś lepszy kat, byle nie w suterenie, byle nie poniżej poziomu ziemi.

Ale komisja dała mu mieszkanie w blokach. Zastąpił. In ni starający się o mieszkanie są mniej skromni, niektórzy puszczają w ruch — bezczelność czy oszukiwanie machinacje.

Jedna rodzina (2 osoby) dostała aż siedem adresów nowego mieszkania, żadne jej się nie podobalo. Do bloków, tylko do bloków!

Inna — dostała 10 adresów, domeldowała w gorące jeszcze dwie osoby, byle tylko zasłużyć na bloki. Na Niciarnianej (dwie osoby) kobieta zagroziła komisji siekiera, jeśli nie otrzyma mieszkania w blokach. Na tej samej ulicy człowiek samotny, mieszkający do ład w walące się ruderze, żądał mieszkania „tylko w blokach”, tylko pokoju z kuchnią i tylko na pierwszym piętrze. Inaczej — szkoda gadać.

Oszuści

Na Widzewie 60 proc. mieszka- kań to mieszkania 1-izbowe

FELIKS BĄBOL



Fot.: E. Kudał



2.

W południe Gospodza usiadła przed domem. Nie chciała zostawać w izbie, już wykadzonej i czystej. Wilga wyniosła karło, ustawiła w cieniu. Od ogródka rozchodził się zapach, okrutna na woń lilii. Niechże się szybko skończy to południe, ten jasny dzień. Niechże co rychlej noc przyjdzie. Ale co w nocy? Zostanie w tej izbie, sama? Nie. Dokąd pójdzie? Może do capelli. Może do Poganichy spod Czarnego Boru. Od ogródka ciągle zawiewa. Zdradliwa, trująca woń. Może by teraz do boru, do barci, do capelli, do... Nie.

Wilga płacze się bezradnie, niespokojna, wchodzi do domu, wraca na dziedziniec, zagląda do ogródka, nasłuchuje, kręci głową. Wreszcie coś postanowiła:

— Południe, Wasza Miłość. Co przygotować na obiad, jaką warzę?

— Rób co chcesz.

— Już sobie umyśliliam. Koguta.

— Koguta?

— Tego koguta, co wtedy piał.

— Piał? Wtedy?

— A tak. Nie piał a darł się. Zarznię go. Żeby nie piał znów w nocy, jak wtedy nad ranem.

— Rób, co chcesz. Tylko, żebym nie widziała i nie słyszała.

— Tak będzie najlepiej. Kogut — zdradliwy ptak.

Wilga odeszła, ale zostało po niej to słowo: „Ptak”. Zdradliwy? Są ptaki niezdradliwe. A ten? Nie, nie pójdzie w nocy do capelli. Wstyd. Daremna ofiara. Jesli on „ptak” naprawdę, to inaczej nie może. Jakże by ją chciał po tym, co się stało, nawet gdyby wróciła sta-

czystość? Nie byłby „ptakiem”. Więc po co to robiła? Nie, nie pójdzie w nocy do capelli. Zostanie tu, niech ją zabije ten zapach okrutny z ogródka. Ostrzegła ją Poganicha. Za jej życia — mówiła — nie zdarzyło się to ani razu. Ale w dawnych czasach pono bywało. I tylko wtedy, jeżeli ten, dla którego padła ofiara, naprawdę był „ptakiem”. Może dawniej więcej spotykało się takich. I tylko wtedy powracała niewinność, ale co z tego? „Ptak” nie chciał takiej ofiary, brzydził się niewinnością — co się na trupie odrodziła — jak ostro określała baba — i odchodził. Nie dla niego taka. Dość była jej zawsze kara. Niech robi, co chce, ale nie debrego z tego nie będzie — ostrzegła ją uciwicie Poganicha. Zrobiła, jak chciała. A może tym razem będzie inaczej, może ona dostąpi tego, czego żadna biadłowa na świecie nie zaznała. Stało się. Niech będzie, co ma być.

Zmęczenie nią owładnęło, może otumaniał duszący zapach z ogródka.

Chart. Ulubiony pies pana. Zagniewany. Ślepia jak dymiące główne. Raz tylko spojrzal tymi główniami. Aż zadymilo z oczu jak z palenisk. Zaszczeka, wścieknę się, pogryzie? Nie. Pogardza? Spokojny — najokrutniejszym spokojem. Chyba coś szepcze. Pies szeptałby, mówił, ludzkim językiem? Tak, slychać, wyraźnie:

— Zbójczyń!

Kochał go ten pies. A gdyby nie kochał? Przeszedł, przesunął się. Lżej Swobodniej.

A oto znowu sunie „coś”. Ach, koń. Klaczka — Czar-

na, kochanka gospodzina. Kochanka? Lepsza niż żona. Co na to poradzić, kto winien, że klacz bardziej go kochała niż żona. Czarna — chmura, zła. Oczy jak żagwie w mrocznej nocy. Nie patrzy, chociaż wie, kto tu. Też gardzi jak pies? Może zachrapi, zarzy, kopytami skopie, potrątuje? Nie. Spokojna, okrutna w spokoju. Zdaje się, że coś szepcze. Koń? — szeptałby, przemawiał ludzkim językiem? Jeżeli pies słowo rzekł, to... Tak, slychać: ten sam wyraz z za zgrzytających zębów:

— Zbójczyń!

Przeżywa. Kochała go. A gdyby nie kochała? Przeszła, przesunęła się, swobodniej, lżej.

Znowu „coś”. Podchodzi, sunie. Ki diabeł? Ona — tu, co wyrosła jak drzewo, ponad drzewo — lilia z ogródka, stamtąd. Biała. Czerwienizną prześwieca, bulgocząca jakby wrzątkiem. Wonię, strasznie wonię, chyba nie lilia, chyba mogilnikiem. Niechże podejdzie ta lilia kochaneczka, posadzona w ogródku, żeby rosła wysoko, jak on leży głęboko, jeszcze wyżej. Na odrodzoną niewinność. Niechże podejdzie, ona nie pies zły, nie koń gniewny. Niechże muśnie miękko, pieścąc. Tylko ten zapach, ta woń z mogilnika. Ust nie ma a szepcze, szeleści ludzkim słowem. Ten sam wyraz:

— Zbójczyń!

Gospodza poderwała się, krzyknęła ostatkiem odurzenia:

— Tyś nie lilia, tyś zmiłja.

Otrząsnęła się z „duru”, przetarła oczy, wróciła „do siebie”, wciąż jednak przeuczulona, nadwrażliwa: Naraz jej się wydało — czyżby jeszcze dalej dur działał? — że ktoś tu jedzie, że slychać pobrzeki uzd, skrzywienie kół, zbliżanie się koni, wozów, ludzi.

— Wilga!

Nadbiegła wezwana dziewczynka:

— Jużem gotowa. Zarznię lam koguta.

Ofuknęła ją Pani:

— Cicho, nie krzycz. Nasłuchuj a czujnie. Czy u ciebie tak samo odzywa się jak u mnie, w moich uszach?

— Ii. To nie. Tak sobie, zwyczajnie.

— Coś słyszała?

— Dyć mi tak w brzuchu bulgoce. Po lubaskach.

— Głupia czy głucha. Nasłuchuj, czy się co nie niesie z dalekości, od drogi, od Czarnego Boru.

Wilga zaczęła nasłuchiwać.

— Albo mi się zdaje, albo uzda tak brzęczy. Albo mi się zdaje, albo koła tak skrzypią. Albo mi się zdaje...

— To chyba na pagórek i spojrzij ku drodze.

Wilga pobiegła. Kto to może jechać? Goście? Na ten czas? Nie pora na gości. Licho nadało. E, jak przyjadą, tak wyjadą. Chociaż... Będą się pytać: a gdzie? A co? A jak? A może kupcy wracają z Kijowa. Po Seraba. Żeby go zabrać. I właśnie w tej chwili. Jak na złość, na przekór.

Wilga chyżo wróciła z pagórka, wołając:

— Jada, jada.

— Nie przywidziało się? Jada?

— Jada.

— Kto? Kupcy?

— Panowie, gospodzina bratowie, dziewczera.

— Ejże, co mówisz — bratowie. Bratowie? Po czym żeś ich poznała?

— Po konikach, po szabelkach, po gospodkach.

— Jak to? Po gospodkach?

— A tak, panowie bratowie na koniach — na wronych, a panie jątrewki w pojazdach — złoconych. Poznałam. Tak samo jak ostatnim razem.

Gospodza załamała ręce, gdyby Wilgi nie było. Nieszczęście z takimi gośćmi, klęska. Ze też na ten dzień, na ten czas zdążyli, jakby ich kto wzywał. Era-towie — znała ich — podejrzliwi, surowi, okrutni. Nie wywiedzie ich w pole, nie ma na nich sposobu. Ale gorsze i złośliwsze — one, bratowe. Kto jak kto, ale one wyczują, wywają, wywają babskim niuchem. Suki, kobyły.

— Pani — zawołała Wilga — już ich widać wyraźnie, już są niedaleko. Nie pomyliłam się... A jakby Wasza Miłość uciekła, tamtą stroną, schroniła się w lesie, choćby u Poganichy? Gospodze, postuchaj, posłuchaj Wilgi. Jeszcze czas.

— Css, Wilga. Nie twoja sprawa, pańska to rzecz.

— Pewnie, że pańska. Powiedziałam, co myślałam.

— Lecz milcz dalej.

Naraz we wrotach ukazał się Serab. Przestraszyły się — obie. Po co? Po co on na tę chwilę przychodzi?

— Serab, wróć do capel-

li — zawołała Pani. — Tu goście jeżdżą do mnie, bracia, bratowe. Nie pokazuj się tutaj. Wracaj co rychlej do barci.

— Nie. Chcę tutaj zostać do końca. Wczoraj zamierzalem opuścić ten las, dom, capellę, niestety, spóźniłem się o jeden dzień. Pozwólcie, Wasza Miłość, że jeszcze zostanę na ten czas.

— Ukryj się, schroń się.

— Nie.

— Ach, stanie się, co się ma stać. Nie minie co się ma stać.

Nie czas na rozważania, a tym bardziej rozmowy. Serab usunął się na stronę i stanął w oddaleniu przy płocie. Goście już we wrotach. Konie i pojazdy zostały na zewnątrz. Cóż to znaczy? To przecież dowód niewinności.

Weszli. Brat Starszy i Brat Młodszy, Bratowa Starsza i Bratowa Młodsza. Kłaniają się raz, drugi, trzeci. Zimno, dostojnie. Odklania się Gospodza — poważnie, dwornie.

— Pomagabóg. Witaj nam, pani.

— Zdarzbóg. Witajcie, panowie bratowie, panie bratowe.

— Do pana brata w gości. Do pana brata — podkreśla Starszy.

— W odwiedziny — dorzucają inni. — Dawno nie widzieliśmy brata. Tyle lat. Ujrzyć go zapragnęliśmy.

— I cóż tak nagle! Aż się zmieszalam. Raczcie panowie i panie do komnat.

— Do komnat nie wchodzi, aż brat nas powita u progu.

— Jakże was może powitać, kiedy go nie ma?

Rojem okrzykiły ją pytania:

— A gdzie nasz pan brat? Gdzie? Wyjechał?

— Wyjechał — niepewnie odrzekła Pani.

— Dokąd? Dokąd pan brat wyjechał? Może do puszczy, na łowy? Mówże, pani bratowa.

— Daleko, daleko wyjechał.

— Dokąd? Mówże, nie zwlekaj.

— Do króla.

— Coo? — dziwił się Starszy Brat.

— Jak? — potwierdzał zdziwienie Młodszy.

— Do króla — powtórzyła Pani.

— A my od króla jedziemy. Nie spotkaliśmy pana brata. Nie widzieliśmy pana brata. Ani u króla na dwo-

rze, ani po drodze. A droga przecież jedna. Nie ma innej drogi do króla.

— Możesz nam brata ukryła — zawołała Bratowa Starsza.

— Powiedz, gdzie go scho-wałaś — ostrzej napierała Młodsza.

— Nie wiedzieć mi, co się stało — w zamieszaniu mówiła Pani. — Wyjechał, nagle wyjechał. Do króla. Do króla — powiadał. A może nie do króla. Pan mąż nie we wszystkim się zwierzał. Może zabił. Może zbójca na drodze.

— Zabił? Do zbójcy? Jeśli zabił, to nie do zbójcy. Do zbójczyń — ostro przerwała jej Bratowa Starsza.

— Do zbójczyń — echem potwierdziła Młodsza.

Gospodza zmieszana, przez rażona:

— Czyżby mnie jeszcze dur trzymał? Może to tylko zjawy? Może nie przyjechałście, ani panowie dziewczera, ani panie jątrewki, a tylko mnie się tak zdaje — w tym durze, od tego okrutnego zapachu z ogródka — może mi się tak zdaje, że to wy jesteście, i mówicie surowo: „zbójczyń”, „zbójczyń”. Już mi to mówił dzisiaj pies. I koń tak powiedział. I lilia do mnie przemówiła tak samo. Czy to wy jesteście naprawdę, panowie dziewczera, czy to wy, panie jątrewki, czy tylko takie złydy?

— Głupia, czy jak? — zastanowiła się Starsza Bratowa.

— Mądra, udaje głupią — orzekła Młodsza.

— Prawdę rzekłam, nie wiem, czy to wy, czy nie wy.

Brat Starszy, rozważny, badawczy, surowy, śledził ją przenikliwie, od głowy do stóp, jakby pewny „czegoś”, jakby już wiedział bez wątpliwości, a tylko dla zwyczajności badał, stwierdzał, pro-wadził śledztwo.

— Jeśli prawdę mówisz, to odpowiedz, a nie ludź i nie wykręcaj tego, co jest proste. Pytam, co to za krew na nodze?

— I na trzewiku? — dorzucił Brat Młodszy.

— Tak, na nodze i na trzewiku.

Dalszy ciąg na str. 10

KAROL BADZIAK

Reportaż na morderstwo w żałobie

Jest noc. I pusta, zmarniejąca na kość uliczka. Drewniane domki przysiadły za drewnianymi płotami. Z małych, uszczelnionych ligniną okien sączy się niemrawe światło — znak, że w środku żyją ludzie. Na czarnym niebie kołysze się rogal księżyc. Smutny i osagbiowy pejzaż wymarłych wieczorem chojeńskich uliczek o kłamiwych nazwach: Smocza. Granitowa. Sokola... Zwodniczy jest także ten dobrotliwy spokój, mroźna pustka i cisza. Tutaj właśnie przed kilkunastu dniami zaćwiczono we wścieklej furii pejcem młodego człowieka. Nie, nie zabili go bandyci, ani „kna-jaki”, ani chojeńskie „urki”. Śmierć przyszła z rąk rozszalanej matrony, z rąk kobiety, która powiła pięciorgo dzieci i ukochała je miłością tak egoistyczną jak tylko zdol na jest do tego matka. I ta oto kobieta, która całe swe życie spędziła między łóżkiem, a kuchnią, między balią a garnkami, ta, niewolnica sprzętów i domowego ogniska, targnęła się na życie Boga ducha winnego dziecka. Nie tej dziecka.

Cmentarz na Chojnach załwili więc święta mogiła. Jednak 16-letni Zbigniew Biedziak miał pogrzeb skromny. Ostatnią przysługę oddali mu tylko najbliżsi. Matka zem-

dla nad grobem. Po powrocie do domu położyła się do łóżka a domownicy starym zwyczajem złożyli u jej stóp ubranie syna, tarczę szkolną, czapkę, sweter, marynarkę i bućki. Zegar nad łóżkiem wskazuje godzinę śmierci. Jest to godzina 23.51. Ból po stracie syna rozrywa nie-szczęśliwej matce pierś. Załoba rysuje głębokie bruzdy na obliczu ojca. Ich rozpacz po stracie dziecka jest tak wielka, że nie ma tam już miejsca na nienawiść do zabójczyń. Pozostaje tylko tępy ból, rezygnacja i okrutna bezsilność.

Opuściny dyskretnie ten dom żaloby, gdzie pozostają ludzie nie pogodzeni ze śmiercią.

Koleżdy, którzy wracając z kina zauważyli Zbigniewa do-zorywającego na mrozie, zdążyli tylko usłyszeć z jego ust: „do domu...”. Miało być oczywiście „do domu”.

Dom, przed którym dokonano zbrodni czerni się na tle nieba ponurym profilem. W środku głucho i pusto. Jedyny jego mieszkaniec Leszek F., który po powrocie z zakładu poprawczego objął go w nie-podzielne posiadanie, rwał, palił i wybił szyby, zniknął i nie pokazuje się. Przedtem zbierali się tu chłopcy z ca-

łej dzielnicy. Przychodziły także dziewczęta. Stare radio łapało czasem Luksenburg. Wtedy tańczono. Na trzeźwo, bo nie było pieniędzy. Żadnej świetlicy na miłe stad nie wy-patrzyli. Czy to może chuli-gani się zbierali w pustym domu wiatrem podszycym? Skądże. Zresztą, chyba tak. bo każda dziesięcioosobowa grupa 16-18-letnich wyrostków bez dozoru zachowuje się niegrzecznie.

Krytycznym dnem w „chacie” przy ul. Smoczej znajdowało się około 15 chłopców, dziewcząt się nie doliczono. Ale że dwie chyba były. Nie było jednak Wiesi Jakubowskiej. Jej młodszy brat, którego matka przysłała na przespięgi, dostał od kogoś z nich w gębę i poskarżył się mamie. Energiczna mama, która przed tygodniem na wieczność zamknęła oczy swego męża i wyprawiła go w ostatnią podróż, zrozpaczona i rozgorączkowaną, z zapiekłą nienawiścią do świata i ludzi za swe nic nie warte życie, zwołała swoje córę, syna, szwagra sąsiadki i na czele tej krucjaty ruszyła przeciwko młodoci, która się rozbestwiła na Smoczej ulicy. Przedtem jeszcze zaopatrzyła się w pejcę u córki Marii. Pejcę stuzyl do poskramiania wielkiego psa walczaka imieniem Bokser.

Uzbrojona w to średnio-wieczne narzędzie tortur, cała w czerni i w kirze, ruszyła z córami w żalobnych sukniach w ciemność małych uliczek, z pragnieniem zemsty, z żądzą śmięci, pulsującą w zwapnionych zylach. Gorzka złość na życie, gromadzona latami w sercu, kipiała czerwona łuną w rozszerzonych źrenicach. Szła na świętą wojnę przeciwko zdziczeniu obyczajów „dzisiejszej młodzieży”, jak powiedział ksiądz, którego przed tygodniem w trwodze i skupieniu słuchała. Niosła z sobą bicz sprawiedliwości, ta barbarzyńska postanka Ciemnogrodu. Obok niej kruczył zastęp posępny, wypełniony od stóp do głów czarną nienawiścią.

Tymczasem w kruchym domu przy ul. Smoczej 18 młodzieńców dokonywała czynów bezcznych: słuchała muzyki i paliła papierosy. Brudna wybraźnia starej kobiety ukstał-towana na sąsiedzkich płotkach i księżeczce do nabożeństwa, ujrzała jednak w nich wcielenie grzechu pierworodnego, ujrzała wysłanników piekieł, antychrystów, zbrojeńców, ścierwo, które należy bogami oćwiczyć na śmierć.

Kiedy ta świekra Ciemnogrodu wkroczyła wraz ze swymi pretorianami do izby, za-

skoczona młodzież poczęła u-mykać drzwiami i oknami. Jakubowska zaczęła wyładowywać swój gniew siekąc skórzanym pejcem na lewo i na prawo. Na swe nieszczęście nawinął się jej pod rękę 16-letni Zbigniew Biedziak, uczeń 64 Szkoły. Rozjuszona kobieta zaczęła go batożyć goniąc za nim aż na ulicę. W sukurs przyszedł jej 30-letni syn, który kopał powalonego w śnieg chłopca po głowie, po zębach i po plecach. Działo się to na oczach grupy ludzi, którzy z aprobatą przyglądali się linczowi bezbronnego, niewinnego dziecka. A starucha w sposób okrutny i bezlitosny obdziałała go razami, biorąc odwet za całą nędną swego życia, za niedaną śmierć swego męża, za córkę, która tygodniami nie nocuje w domu, za dzieci, które nią pogardzają, za wszystkie klęski, które ją spotkały w życiu, córkę formala ze wsi Gospodarz pod Rzgowem.

Następnie, kiedy chłopiec zaćwiczony pejcem na śmierć nie daje znaku życia, upojona zwycięstwem gromada wraca do domu.

— Aleśmy mu dali do wi-watu! — przechwalali się między sobą mordercy kładąc się na „zastulony” odpczynek. — Byłam i widziałam go

w trumnie. Ładnie sobie chłopca leżał — opowiada dziś ludzom pewna wariatka z Górnej, którą rodzina zwykłe trzyma w komórce. I wariatka jest szczęśliwa, bo od-wiedzenie umarłych i uczestnictwo w pogrzebach, to jedyna rozrywka w jej ślętycznym życiu.

Reporter jest w takiej sytuacji, w której, niczym ksiądz, może gromić, rozpałać nienawiść, siać pogardę, przywoływać na świadka XX wiek, zdobyć cywilizacji i kultury, i co mu tywnie śli-na na język przyniesie. Ma za sobą opinię całego miast. Lecz reporter nie uważa, aby na lincz fizyczny odpowiadać linczem moralnym o-pini publicznego. Ale reporter nie myślał też bronić zwyrodniałej zabójczyń.

Oczywiście, wypadek jest drastyczny, plugawy i barbarzyński, przekracza górną granicę naszej wrażliwości. Okupieniem może być tylko rumieniec wstydu za własny gatunek homo sapiens. Na nie więcej nas nie stać ze względu na czysto techniczne.

Dalszy ciąg ze str. 9

— Co to za krew? — krzyknęły obydwie bratowe. A Gospożka najspokojniej: — Dziewka kurę zarzęła, krew trysnęła. Na nogę i na trzewik.

— Dziewka? Może ta, co tu stoi? — badał Starszy Brat.

— Tak, ona, Wilga.

Brat Starszy skinął na Wilgę, surowo pogroził jej palcem, przestrzegając nim zadał pytanie:

— Zebysz mówić prawdę, jak pod przysięgą na Boga. Mów, jak pod przysięgą na Boga: zarzęłaś kurę.

— Kury nie zarzęnałam, zarzęnałam koguta.

— Krew trysnęła?

— Jakże by nie! Trysnęła.

— Na, nogę? Na trzewik? — Nie.

— To jak?

— Do cebrzyka.

— Skłamałaś, pani — podjął śledztwo Starszy Brat. — Mów lepiej prawdę od razu, niż zwiedzisz nas. Po raz drugi zapytuję: co to za krew?

— Skąd ta krew? — dodał Młodszy Brat.

— Co to za krew na nodze? — ze swej strony dorzuciła Bratowa Starsza.

— Co to za krew na trzewiku? — wzięła udział i Młodsza w pytaniach.

Gospożka dumnie, wzgardliwie:

— Nie przystoi i wam, panowie, bratowie, i waszym małżonkom zmuszać mnie do wyznań, które przynioszą wstyd białogłowom. Ale gdy chcecie, to wiedźcie — niewieście to krew.

— Fe! — wzdrygnął się Starszy Brat.

— Pewnie znówu kłamię — wątpił Młodszy.

— Od czegoż białogłowy? Przyjrzyjcie się bacznie. Zaprzeczają:

— Kłamię. Nieprawda. My się na tym znamy. Nie taka to krew.

Gospożka jak otumaniona brnęła dalej i gorzej w zmysłach.

— Może to rdza. Może plama od durzącego ziela. Jak nie od tego, to od tamtego.

— Dalej głupia udaje. Nie wiercie jej — ocenili białogłowy.

Brat Starszy uznał, że dalsza rozmowa z Panią nie mu już nie da. Skinął na Wilgę.

— Zbliży się, dziewczko. Mów, gdzie jest pan, nasz brat. A prawdę, bo pasy będzie mi z ciebie darli.

— Oblupimy ze skóry — dolożył Młodszy.

Wilga nie zamierzała nic ukrywać. Wprawdzie niedawno, zaraz po tym, co się stało, o wschodzie słońca, zakleła się pogańską przysięgą na kamień w wodę, że nie zdradzi, że słówka nie piśnie, ale cóż z tej przysięgi, gdy wszyscy wokół wiedzieli, nie tylko ludzie, ale i zwierzęta.

— Co wiem, to powiem — oświadczyła potulnie.

— Gdzie pan, twój gospodarz? — W mogile.

— Gdzie ta mogiła? — W ogródku.

— Dawno pochowany? — Już od tego czasu ruta na grobie wyrosła i lilie zakwitły. Bo na mogile zasialiśmy rutę i posadzili lilie — mimo wszystko wykrętnie objaśniła Wilga.

— Prawda to? — Kłnę się.

— Nie do wiary! Tymczasem Młodszy Brat dostrzegł Serabę stojącego na uboczu przy płocie.

— A ten tam? Kto zacz? I niech powie, co wie.

Wezwał go Starszy. Zbliżył się Serab. Potoczyły się pytania:

— Ty kto? Służebnik? — Bartodziej z tutejszego boru.

— Mów prawdę.

— Zawsze mówię prawdę.

— Gospożka w mogile? — W mogile.

— Dawno złożony? — Rano.

— Dziś? — Dziś rano.

— A pono ruta na grobie wyrosła? — Wyrosła.

— Od rana? — Od rana.

— I pono lilie zakwitły? — Zakwitły.

— Od rana? — Od rana.

— Ona, ta, gospożka, pani, zabiła?

Nie zdążył Serab dać odpowiedzi, Gospożka, dotąd jakby półmartwa, czywiła się naraz, stanęła między Serabem a braćmi i dumnie zeznała:

— Już się nie zapieram, przynajmniej do tego, co zrobiłam. Tak, zabiłam. Spiącego, zielem odurzonego zabiłam sztyletem. Dziś o pierwszej zorzy. Ciało pochowałam w ogródku, na grobie zasialiśmy rutę i lilie, które zakwitły.

— Zbójczyni! — Katował

Potępiły ją od razu tymi słowami Bratowe. Starszy Brat zastanawiał się nad dziwem, nad nagłym wzrostem i zakwitnięciem lilii.

— Przynała się, bo musiała się przysięgnąć, nie miała innej rady. Zbójczyni, jest i katowa. Wiemy, jak z nią postąpić. Ale co to jest z tą rutą, z tymi liliami? Wy rozumiecie, białogłowy, co to jest? Czary czy jak?

— Jest taka klechda — po wiedziała Bratowa Starsza. — Baby stare plotą. Wierzyć, nie wierzyć.

— Klechda, bajda, babskie brednie, a tu nie o bajdę chodzi, tylko że się tak stało. Cóż wy, białki, na to? — Niech ona mówi, zbójczyni.

— Mów.

— Powiem, powiem wszystko. Słuchajcie i bądźcie cierpliwi i nie gniewajcie się, jeżeli jakie słowo was dotknie. Zbójczyni jestem, katowa, zabiłam, postąpiłam z mną tak, jak zechcecie. Ale wysłuchajcie. Byliście na weselu, gdy wziął mnie od matki wasz brat, mój mąż, wdowiec bezdzietny. Pojął mnie wieprz nieplodny. Nie zymajcie się, nie mówcie mi, że rycerz, wielmoża, bo chociaż był rycerzem i wielmożą, ale to był człowiek-wieprz, a człowiek-wieprz to gorzej niż prawdziwy wieprz. A ja byłam gołąbką niewinna, białym ptaszkiem. Zabrał mnie wieprz — ach jakie szczęście, że nieplodny — i zmusił do obcowania i ode mnie — nie naigrawajcie się, bo to prawda i męka — ode mnie, gołębiczkę, żądał bym postępowała, jakbym pocho-

dziła ze świńskiego rodu, bym się lochała z nim jak locha w chlewie i goju. Noc w noc mnie kałał, i czułam się tak pokalana, jak najgorsze stworzenie na świecie. Modliłam się do Bogarodzicy, by mnie wyzwoliła od tego kału i wróciła to, co mi się teraz wydaje najpiękniejsze — czystość dziewczę. Nie pomogły modły. Jeżeli ma być takie piekło za życia, niech będzie na wieczność. Udałam się do Poganichy, wiedząc my spod Czarnego Boru, i ona opowiedziała mi starodawną klechdę, co się podobno drzewiej sprawdziła,

ny do oddawania pierwszeństwa Starszemu, który był głową rodu, nie ważył się w tym ważnym momencie rzecz słowa przed bratem. Karnie czekali na jego zdanie. On też właściwie odczuwał swoją naczelną powagę, skupił się i podjął rzecz:

— Zbójczyni i katowa odebrała zdradliwie naszemu bratu nieboszczykowi życie. Teraz odbiera mu, nie żyjącemu i bezbronemu wobec hańby, rzecz ważniejszą niż życie — cześć. Podwoiła swoją zbrodnię. Nazwała wieprzem naszego brata, znamienitego rycerza, sław-

czowieka, i ona jedną poniesie. Niechże przecież będzie najstraszniejsza, aby się w tej jednej i druga zmieściła. Nie więcej nie powiem.

Starszy zwrócił się do niewiast:

— Nie białogłowska to rzecz taki sąd, ale białogłowska była zbrodnia i sprawa. Godzi się więc, byście i wy ze swej strony dorzuciły zdanie. Może wasze oczy ujrzają coś więcej, niż nasze rycerskie ślepa, które sprawnie wysłędzą zwierza w puszczy niż drapieńnika w niewieścim sercu. Mów pierwsza, moja pani małżonko.

— Musi być ten, dla którego stała się zbrodnia.

— Oho, coś nowego. Jak to pojmuje?

— Wybaczyć, panie mężu, że wrócę do tej starodawniej klechdy, o której zbójczyni mówiła. Jest taka bajda, plotą o niej jeszcze w borach poganichy i wiedźmy. W tej bajdzie jest więcej niż zbójczyni mówiła. A to w niej, że musi być „ten jakiś”, dla którego stała się zbrodnia. Człowiek nie człowiek-labędź, czy zgoła sam anioł. Tak mówi bajda. Wierzyć, nie wierzyć, pogańskie to czary, nie godzi mi się, wiernej chrześcijance, uznawać przekłete wierzenia, bo zgoła nie do pomyślenia, by do takiej zbrodni przyczynił się labędź, a tym bardziej anioł.

— Ale mógł być czart, który przybrał postać labędzia albo anioła. Nie znam ja tej klechdy, bom się z pogaństwem nie stykała, ale że musiał być czart, w to wierzę.

— Niegodne te babskie bajdy rycerskiej myśli. Ale jej jednak zapytam. Niech będzie pełne śledztwo. Mów ty, zbójczyni, katowa, dla kogo zabiłaś: dla anioła, czarta, czy może dla jakiegoś jurnego junoszy?

— Mogłabym się nie tłumaczyć — i tak śmierć, i tak śmierć. Mnie zabijcie, jego dla którego zabiłam, nie uśmierćcie. Ja nie wiem, kto on, ale jest on z mocy bożej, a mocy bożej nie dacie rady. Zabiłam, a Bóg mi błogosławił.

— Błuznierstwo!



— ale za naszych czasów ani razu. Gdy tak jest — mówiła baba — jedyna na to niegdys była rada: niech żona męża zabije, pogrzebie, na mogile zasieje rutę i lilie, a gdy kwiaty się przyjmą i tego samego dnia wyrosną i zakwitną, morderczyni otrzymuje łaskę, niewinność i czystość powraca. I oto się stało, jestem zbójczyni i katowa, zabiłam męża, ale ofiara nie była daremna, znowu jestem dziewczką. Tak jest, panowie bratowie, róbcie ze mną, co chcecie.

Cisza nastała po tej mowie. Obydwe białogłowy, bratowe, jakby czymś zawstyżone i przejęte, odwracały twarz od ludzi, w bok raczej patrząc lub w ziemię. Może one najlepiej pojmuwały to, co się stało. Może więcej wiedziały niż ich mężowie. Może porównywały siebie z zbójczynią i jej przegrodę przenosiły do własnego małżeństwa, układały w swym domu i łożu. Nie rzekły słowa, czekały na słowa mężów, najbardziej chyba mową Bratowej dotkniętych. Brat Młodszy przyzwyczajono

nego wielmożę, którego król obok siebie sadzał, przyjaźnią, miłością i dostojestwami obdarzał. Żona wojownika i komesa, który dał jej swoje wielkie imię i włości, z ciemnej chyży podłego ścierciałki wprowadził do komnat złotych, wylóżonych kobiercami, ubrał w szaty jedwabne i w sobole najdroższe. Życie mu odebrała i cześć jego kala najnikczemniej. I cały nasz ród poczył gnojem obrzydła. Brata naszego nazwała wieprzem, i nas tak samo, bo przecież bracia wieprza również w jej słowach i oczach są wieprzami, a na sze żony, zacie białogłowy — żonami wieprzów, lochami.

Wstrzymał się, po chwili przeszedł do dalszego przedmiotu:

— Osądźcie najpierw sami jej winę. Wysłucham, a jak ma być, na końcu sam postanowię. Mów, młodszy bracie.

— Za dwie zbrodnie dwie śmierci powinny jej przypaść. Ale że Bóg tylko jedną śmierć dopuszcza na

— Osądźcie najpierw sami jej winę. Wysłucham, a jak ma być, na końcu sam postanowię. Mów, młodszy bracie.

— Za dwie zbrodnie dwie śmierci powinny jej przypaść. Ale że Bóg tylko jedną śmierć dopuszcza na

— Osądźcie najpierw sami jej winę. Wysłucham, a jak ma być, na końcu sam postanowię. Mów, młodszy bracie.

— Za dwie zbrodnie dwie śmierci powinny jej przypaść. Ale że Bóg tylko jedną śmierć dopuszcza na



O rycerzach i kowalach

Rycerz Chwalipięta po stanawia zabić smoka który kradnie złote jabłka z ogrodu króla Cwieka. Jak można się spodziewać, za ten czyn otrzyma rękę pięknej królowej. Inaczej w bajkach nie bywa. Cnota musi być nagrodzona. Oczywiście, Chwalipięta stchórzy, smoka zabije sam król Cwiek przebrany za czarnego rycerza, kłamstwo Chwalipięty wyjdzie na jaw i od tej pory król sam będzie pił wonna mięta, a królowa? O niej już nie ma mowy, ale spodziewamy się, że w końcu i ona znajdzie godnego swojej piękności dzielnego rycerza. Oto treść nowej bajki Igora Sikiryckiego „Przygody rycerza Chwalipięty”.

„Stara kuźnia” (też autor) przerosł nas w czasie jeszcze „Pradawniejsze”. I właśnie tym ciekawsze. Historia rodu kowala Mikuly (ze wsi Stare Karzyska niedaleko od Puław) podana jest bardzo interesująco. Temat trudniejszy — nie powielano po wielokroć motywy o królach, księ-

źniczkach, rycerzach — Sikirycki opowiada o narodzinach nowych czasów. (Bo w tych czasach zamierzych — Ni zezala ni stali — Ludzie tutaj żyjący — Jeszcze całkiem nie znali). Niezbędne były tutaj i opisy krajobrazowe, i małe wykłady, które zazwyczaj młody czytelnik najchętniej opuszcza, a jednak te opisy nie nużą, są wtopione w akcję i konieczne. „Stara kuźnia”, moim zdaniem, należy do najlepszych bajek Sikiryckiego. Ta prosta, pełna dyskretnego humoru opowieść o starym rodzie kowalów, przemawia do wyobraźni najmłodszego czytelnika, autor operuje słownictwem pięknym, dostępnym dla dzieci.

Odnotowujemy te uwagi na marginesie nowych ksiązek Igora Sikiryckiego, tym bardziej że jak uczy doświadczenie, wszyscy się interesują literaturą dla dzieci, ale omówień krytycznych, choćby wzmianek, w naszych gazetach i pismach za wiele się nie spotyka.

TP

Igor Sikirycki. „Przygody rycerza Chwalipięty”. Wyd. RUCH. Nakład 60.000.

Igor Sikirycki. „Stara kuźnia”. Wyd. „RUCH”. Nakład 60.000.

Nie tak dawno jeszcze absolwenci szkół podstawowych ubiegający się o przyjęcie do szkoły średniej zaliczali do podania „opinii”.

W takiej „opinii” m. in. można było wyczytać, że Jurek jest prezesem Spółdzielni Uczniowskiej, Kola PCK, skarbnikiem SKOW, zastępcą przewodniczącego Ligi Ochrony Przyrody, zastępcą w drużynie harcerskiej, aktywistą Szkolnego Klubu Sportowego, prezesem Kola Przyjaciół Łodzi, LPZ, Szkolnej Kasy Oszczędności, sekretarzem Szkolnego Kola TPP-B, Kółka Turystyczno-Krajoznawczego, niezależnie od tego, że aktywnie pracuje, powiemy, w Kółku Sprawnych Rak, Kole Żywego Słowa i — orkiestrze mandolinistów.

Powiecie: przesada! Odpowiem: nie tylko przesada, ale i smutna prawda.

Powtórzę autentyczną rozmowę, jaka odbyła się pewnej jedenastolatki z kimś, kto był odpowiedzialny za „pion szkolny” jednej z wyższych wymienionych organizacji.

— Panie dyrektorze, we wszystkich szkołach mam już kola „potworzone” (to nie ma nic wspólnego z potworem) prócz pańskiej szkoły!

Dyrektor: — Bardzo mi przykro, ale ja na to nie mam porady. Mam już dziesięć organizacji „masowych”, dawnasie kol zainteresowań i samorząd. Stawiałem te sprawy kilka razy na posiedzeniach Rady Pedagogicznej. Ale naprawdę nie mam już „wolnego” nauczyciela, który mógłby podjąć się opieki nad jeszcze jedną organizacją.

— Ale, dyrektorze, na każdej rocznej konferencji naszej szkoły wypominają, że „nie doceniają”, a wszystkie inne „doceniają”. Po co to panu!

— A niech wypominają, mam dosyć tych fikcji, nie wiem, jak to robią inne szkoły!

— Odpowiedzialny za pion szkolny zaczął z innej beczki!

— Panie dyrektorze, ja też mam swój „pion”. Jeżeli się wykaże stu procentowym wykończeniem, tzn., jeśli w każdej szkole powstanie kolo, dostanę

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

„SPOŁECZNE” ANTYWYCHOWANIE

premie. Niech pan zrozumie, ja na moją nie pracuję, troje dzie ci...

— Na takie dictum dyrektor skapitulował. Po tygodniu w szkole powstało — jedenaste „kolo”, albo lepiej pięte kolo u woźni.

I tak, jak Polska długa i szeroka: od Przemysła do Szczecina i od Oluszyna po Jelenią Górę szkoły duszą się od nadmiaru przeróżnych organizacji, kol i kółek. „Odwalają się” sprawozdania, wyznacza zarządy, organizuje od czasu do czasu jakiś konkursik czy gazetkę ścienną. Byłe nie „podpaść”, byle się władze nie czeptały, a powiatowe czy wojewódzkie zjazdy „sprawozdawczo-wyborcze” nie pletnowały. W ten sposób szkoła „nie podpada”, a że wychowuje się przy okazji nie tyle przyszłych działaczy społecznych, ile społecznych błagierów, o to już mniejsza.

Zdają sobie sprawę, że obraz tzw. metod społecznych wychowania w naszych szkołach w różnych organizacjach został tu przez mnie przerysowany, ujęty w sposób może nieco karikaturalny. Uczyniłem to celowo. Nie neguję oczywiście faktu, że szkoły mają tu i ówdzie bogaty i niekiedy oryginalny dorobek w życiu róż-

nych organizacji i kol, faktem jest, że w tej dziedzinie panuje duży chaos.

Nie siląc się absolutnie na wyczerpanie tego tematu spróbuję jednak naszkicować niektóre źródła tego stanu rzeczy i wskazać środki zaradcze znu.

Przeróżne organizacje „penetrują” odcinek szkolny pragnąc wykazać się wobec władz i „czynników” wielką liczbą członków, kol, odbytych zebrań, dokonanych akcji. Ma to być dowodem ich przeżności i legitymacją społecznej potrzeby istnienia. Stąd nie zadawala ich, że przeciętne czy inna dziedzinę społecznej pracy może prowadzić jakaś inna organizacja np. drużyna harcerska, bądź samorząd szkolny. Bo im nie tyle o działanie chodzi, co o stan organizacyjny dla sprawozdania.

Za całość pracy dydaktyczno-wychowawczej szkoły odpowiada rada pedagogiczna. I stąd należy przywrócić jej prawo wyłącznej decyzji w sprawie powoływania do życia tzw. ogniw — sojuszników w pracy wychowawczej szkoły. O tym czy jakaś organizacja ma w szkole powstać, powinna rozstrzygnąć potrzeba jej istnienia,

która zrodzi winno życie społeczności uczniowskiej, a nigdy „odgórne” zarządzenie. I tak np. jeżeli młodzież chce uprawiać turystykę, sport, czy powołać do życia zespół żywego słowa, musi się jakoś zorganizować. Jak? Niech jej w tym pomoże szkoła. Może to być samodzielną organizacją, ale z równym powodzeniem może owa turystyka, sportem czy amatorskim teatrem zająć się istniejący już samorząd szkolny, drużyna harcerska, ZMS...

Trzeba tu jednak poczynić dwie bardzo, moim zdaniem, istotne uwagi: w hierarchii instytucji, w których by dokonywał się proces kształcenia umiejętności organizacyjnych o bok samorządu organizacyjnych należy widzieć ZHP lub ZMS. Jako najbliższych sojuszników szkoły w dziedzinie ideowego wychowania. Wydaje mi się nawet, że w tym wypadku, gdy szkolna drużyna harcerska lub ZMS są dostatecznie silne zarówno organizacyjnie jak i liczebnie, mogą one pełnić funkcję samorządu szkolnego.

I uwaga druga: to co się wyżej rzekło, absolutnie nie oznacza, że należy likwidować organizacje istniejące i pracujące w szkole. Jeżeli pracują, to do brzo! To znaczy, że są potrzebne. Niech się rozwijają!

Sądzę jednak, że w żadnym wypadku nie wolno nam dłużej tolerować organizacji napierowych, fikcyjnych, istniejących dla sprawozdawczości, by się nikt „nie czeptał”.

W takich organizacjach nie tylko nie kształcimy w naszych wychowankach jakiegoś cennej umiejętności społecznej współżycia — ale przeciwnie — wychowujemy bliagierów, pykaczy, którzy już na szkolnej ławie uczą się, gdzie i w jaki sposób trzeba „zalać”, żeby wypadło dobrze w opinii jednostek nadrzędnych.

Zamiast wychowania w poczuciu odpowiedzialności, w poszanowaniu dla rzetelności i prawdy — w gruncie rzeczy powielano się antyspołeczne wychowanie, czy, jak kto woli, społeczne antywychowanie.

KOMU POTRZEBNE jest LAKIERNICTWO?

Zdarzyło mi się — zresztą zupełnie przypadkowo — znaleźć w gronie osób, zajmujących się „robieniem“ telewizji w Łodzi. Rozmówki gładkie, konwencjonalne, o tamtym i owym, aż wreszcie temat zszedł na śliskie drogi: recenzję i krytyków telewizyjnych. No i okazało się, że to boli, że jest to nader czule miejsce telewizji.

Więc jeden pan powiada (oburzony) — Nie się im nie podoba. (Wyraźna aluzja w stronę „Odgłosów“). Ale to kompletnie. Niczego nie doceniają. Ten jakiś Kowalski wszystkim wymyśla. Lasota dla niego zły. Dziedzicówna też. Inny znowu napada na Kydryńskiego. W „Głosie Robotniczym“ Alina Grabowska „zjechała“ „Wieczorne rozmowy“ z profesorem Szczepańskim. Więc co im się w takim razie może podobać?

Proszę pana. Dam prostą odpowiedź. Nie wymaga ona nadzwyczajnej spekulacji. Ale na pewno wymaga pracy, wysiłku, odpowiedzialności, ambicji właśnie od takich jak pan, czyli realizatorów telewizyjnych. Zgadza się wszyscy przykładowie z tym, co zostało już setki razy wyłożone szufła i łopata, że telewizyjny program potrzebuje inteligencji, jest bez wątpienia programem trudnym w realizacji, ponieważ poszukującym, nowym, itp. Można, co prawda, posprzeczować się, czy wciąż i wciąż jest „nowym“, hm, po tylu latach isinienia, lecz mniejsza już o to. Załóżmy, że dopiero się narodził, uczy się chodzić i szuka najlepszej drogi. Tylko sęk w tym, że coraz mniej szuka. Poprzedzał na tym, co znalazł, a znalazł nie tak znowu wiele, i nie zawsze w najlepszym gatunku. Popadł w schemat. A schemat w telewizji jest już nie do przyjęcia. Dlatego, był okres czasu — o, długi, kiedy wszyscy chwaliłiśmy i Kydryńskiego, i Lasotę i Dziedzicównę, i wszystkich innych. W dalszym ciągu nikt nie zgłasza pretensji do re-



Nikt nie występuje przeciwko piosenkarzom, wszystkim podobał się bardzo Bogdan Łazuka.

Fot. Z. Krajewski

żysera „Muzyki“, Janusza Rzeszewskiego, wręcz przeciwnie — od tej strony „Muzyka“ jest bezkonkurencyjna. Ma też dobrą oprawę plastyczną. Ale nie można zgodzić się z faktem — smutnym — nonszalancji Kydryńskiego wobec widzów i... telewizji. Dlaczego ma psuć dobrą robotę i wysiłek tych wszystkich, których telewizjo wie znać jedynie z czołówek? Nikt nie występuje przeciwko piosenkarzom, bardzo podobał się wszystkim Łazuka, Krystyna Sienkiewicz, ale nie podobał się sposób,

w jaki Lucjan Kydryński raczył ich zapowiadać. I o co tu kruszyć kopie? A panu się podobał?

Schemat gubi telewizję. Z zamkniętymi oczami można teraz przewidywać akcje nie których programów publicznych. Nie patrząc wiemy kiedy uśmiecha się do widzów Irena Dziedzic. Boże drogi, siedem razy w tygodniu jedna zupa? Komu nie obrydnie?

Telewizowie piszą; wciąż najatrakcyjniejszym punktem programu telewizyjnego są filmy. Niekiedy teatr. — Je-

śli takie ambicje ma telewizja, to rzeczywiście, wtedy może się wszystko podobać. Po prostu, gdyż nie będzie wyboru.

Z czystym sumieniem — i po zasięgnięciu opinii wielu osób — mogę na przykład stwierdzić, że wynalazek Łódzkiego Ośrodka — Łódzki Dziennik, jest pomysłem ze wszech miar udanym. Dobrze pomyślany, gdyż łączy się w całość (zaraz po nim następuje Dziennik Ogólnopolski z Warszawy), robiony z dużą pracowitością — to widać, proszę pana. — sta-

raniem o urozmaicenie wstawkami filmowymi, jest bez porównania ciekawszy od dawnych „Aktualności Łódzkich“, które były informacyjkami trzeciego sortu, i wcale nie tymi aktualnymi. Jeżeli jeszcze do tego dodam, że budżet Ośrodka Łódzkiego na dziennik posiada aż... pięć tysięcy złotych, to potwierdził się w pełni postawiona już one-gdaj teza, że przy chęci i ambicjach można robić poprawne audycje. Bez braków.

KOWALSKI

Nasz wywiad



Z JERZYM MASŁOWSKIM scenografem ŁÓDŹ

— W jakim kierunku idzie rozwój scenografii telewizyjnej?

— Scenografia telewizyjna w pierwszym etapie dość niewolniczo naśladowała teatr i film. Obecnie dopracowaliśmy się już raczej własnej koncepcji, koncepcji dalekiej od naturalizmu, natomiast faworyzującej duży skrót, celny symbol, słowem wszystko to, co rozumiemy pod ogólnym pojęciem umowności.

— Czyli, że scenografia we współczesnym pojęciu jest jakby szkicem, reszta zaś za leży od wyobraźni widza?

— Właśnie, to jest zasada, i chyba słuszna, ażeby zbyt natrętnie nie narzucać własnej wizji widzowi, ale raczej wychodzić mu na przeciw: proponować. Scenografię w telewizji robi się

do wszystkich audycji od publicystyki aż po wielkie widowiska. Na przykład w teatrze — miejsce akcji komponujemy się w jednej scenie. Widz ogląda ją przez cały akt. My posiadamy znacznie większe możliwości i za pomocą kamery pokazujemy o wiele więcej punktów kompozycyjnych. Niedawno pracowałem nad opracowaniem scenograficznym sztuki Maupassanta „Spadek“ w reżyserii J. Antczaka. Otóż, sztuka ta miała aż 14 miejsc akcji, czyli — potrzeba było aż 14 makiet dekoracyjnych, a wszystkie musiały być tak rozstawione w studio, aby kamera mogła się do każdej z nich swobodnie dostać. Poza dekoracjami niektóre miejsca akcji można umieszczać również w plenerze. Robi się wtedy t. zw. dokrętki fil-

mowe, w które reżyser telewizyjny wkomponowuje spektakl.

— Czy mógłby pan powiedzieć coś na temat telewizji kolorowej?

— Kolorowa telewizja to dla nas jeszcze muzyka przyszłości. W Polsce pierwszy eksperymentalny ośrodek powstanie prawdopodobnie około roku 1975. Na Zachodzie kolorowa telewizja jest jeszcze ciągle w stanie prób, w stanie doświadczeń i eksperymentów. Oczywiście, wprowadzenie kolorowej wizji niewiele zmieni w pracy scenografa, gdyż i dziś wszystkie kostiumy i makietki posiadają swoje odpowiednie, naturalne kolory, ponieważ właśnie przy pomocy barw uzyskujemy tu różne odmiany szarości.

Rozm: J. G.

O REPORTAŻU WIEJSKIM

Pokazany we wtorek (29. I.) reportaż wiejski „Wieczór u Sujkowskich“ sprawił duży zawód tym, którzy postanowili go obejrzeć, chociaż przygotowanie te audycje bardzo starannie. Ekipa techniczna przybyła do wsi Stanisławowo Zegrzyńskie wczesnym rankiem, by móc zainstalować reflektory, i mieć czas na wyreżyserowanie programu. Co więc sprawiło, że audycja została, jak to się mówi, „położona“? — Przyczyna w tym, że prowadzenie programu powierzono gawędziarzowi Stanisławowi Strugarkowi. A pan Strugarek nie bardzo wiedział, o czym ma mówić z chłopską rodziną Sujkowskich. Próbowal więc dla ożywienia programu opowiadać jakieś anegdoty, z których jednak nie śmiał się ani Sujkowscy (bardzo przejeź swoja rola), ani tym bardziej widzowie. Natomiast zupełnie niezamierzone efekty humorystyczne wynikały podczas rozmowy pana Strugarka z sołtysem; kiedy to jeden tonem „uroczego“ gawędziarza domagał się świetlicy dla wsi (gdź, jak zapewniał, świetlice tańczy i na przyszły raz jak tu przyjedzie, to chętnie se „pohula“), drugi zaś uparcie twierdził, że dla wsi najważniejsza jest w tej chwili woda (która trzeba przywozić do Stanisławowa), a nie świetlica. W efekcie powstał następujący obrazek — z jednej strony chłop mówi o swoich kłopotach związanych z brakiem wody, z drugiej uśmiechnięty gawędziarz pragnący potańczyć w Stanisławowie (chłop swoje i prowadzący audycję swoje). W rezultacie, próba telewizyjny „Jeziorko“ poniosła całkowite fiasko.



„KONFRONTACJA“

Publicystyka młodzieżowa w dalszym ciągu jest „piętą achillesową“ naszej telewizji. Mogliśmy się o tym przekonać oglądając program pt. „Konfrontacja“ (30. I.), pokazany z okazji 20-lecia ZWM. Zebrano więc przed kamerami byłych członków ZWM, oraz młodzież ZMS. Zainscenizowana konfrontacja nie przyniosła spodziewanych wyników. Dyskusja raz po

raz rwła się, gdyż młodzież przeskakiwała z tematu na temat, a starsi nie mogli nadażyć z wyczerpującymi odpowiedziami. Winę za to ponosi prowadzący program, który powinien kierować dyskusją i nie dopuścić do zbyt żywiołowej konfrontacji. W sumie — kolejny słaby młodzieżowy program publicystyczny.

Występ Rachonia

Mowa będzie o programie muzycznym „1000 tak-tów muzyki“ w wykonaniu zespołu kameralnego pod dyrekcją Stefana Rachonia (30. I.). Niestety nie była to audycja udana. Złożył się na to i niezbyt już popularny rodzaj muzyki prezentowanej przez zespół Rachonia i nieciekawe aranżacje i (w decydującym stopniu) bardzo słabe solistki. Poziom interpretacji Marity Horwat i Marii Diny trudno nazwać przyzwoitym. Były to chyba najslabsze piosenkarki jakie wy-

stąpiły w telewizji (konkurować z nimi mogłyby tylko Karin Stanek czy Helena Majdaniec). Powstał więc program, który tylko przez wzgląd na zasłużonego dyrektora zespołu, nazwać można przeciętnym.

T.W.



str.
11

BYLE do WIOSNY!

Wszyscy dziś powtarzamy to hasło, aktualne nie tylko u nas, ale w całej prawie Europie. Bronimy się wszelkim sposobami przed zimą, marzymy jednak o wiosnie.

Dziesiątki tysięcy dzieci pozostają w domach, zbijają baki, urządzają nieprawdopodobne kawały, szkoły w dużej części nieczynne, leci bezcenny czas. Jak w tych warunkach będzie wyglądał koniec roku? Co będą umieli maturzyści, co uczniowie siódmych klas, którzy pójdą po egzaminie do szkół średnich? Po nieprzewidzianej przerwie trudno będzie zrealizować porządnie program nauczania, nauczyciele z konieczności będą stosować niesławną „paznokciówkę”, będą po kilkudziesięciu stronach przerabiać na jednym posiedzeniu, młodzieży grozi zadyszka i przemęczenie.

„Odgłosy tygodnia” pragną wyrazić uznanie dla władz miejskich i oświatowych za to, że czynią wszystko co możliwe, aby skutki zimy w szkołach załagodzić. Muszą i będą się uczyły normalnie, klasy węzłowe, a więc siódme w szkołach podstawowych, dziewczęta i maturalne. Młodzież zbierać się będzie w szkołach zaopatrzonej wystarczająco w węgiel. A reszta?

Nasze Kuratorium postanowiło spróbować nauczania przez radio. Jest to pomysł godny pochwały, jakkolwiek niełatwy do zrealizowania. Jeżeli jednak nauczyciele zorganizują, wykorzystując wszystkie możliwości (światlice, opalane lokale, a nawet mieszkania) odpowiednie próby konsultacyjne, będą sprawdzać lekcje i oceniać pracę ucznia, jeżeli rodzice przypilnują odpowiednio dzieci, to ta forma nauczania, oczywiście niedoskonała, przyniesie pozytywne rezultaty.

ODGŁOSY tygodnia

CORAZ CIAŚNIEJ

W roku 1956 przypadało w Łodzi 3.250 mieszkańców na 1 kilometr kwadratowy powierzchni, obecnie przypada już ponad 3.400.

Łódź ma najmniejszy obszar ze wszystkich wielkich miast polskich, jest przeszło dwukrotnie mniejsza od Warszawy, ze swoimi 212 kilometrami kwadratowymi nie do równuje nawet Poznaniu, nie mówiąc już o Krakowie czy Wrocławiu.

Nic też dziwnego, że i gęstość zaludnienia jest u nas najwyższa. W Warszawie na 1 kilometr kwadratowy mieszka przeciętnie 2.600 osób, w pozostałych miastach — około 2 tysiące.

Nasi statystycy przeprowadzili ostatnio znamienne obliczenia. Chcąc stworzyć pod względem gęstości zaludnienia warunki identyczne jak w Warszawie, należałoby „do dać” Łodzi 63 kilometry kwadratowe powierzchni, jak w Krakowie — 128, jak we Wrocławiu — 155, jak w Poznaniu wreszcie — aż 168 kilometrów.

Mimo znacznego rozszerzenia granic Łodzi w roku 1945, trzeba będzie wkrótce pomyśleć znowu o dokonaniu korekt. Inaczej miasto, w końcu się udusi.



Pomysł racjonalizatorski za darmo

Słowo daję, nie chcę za ten pomysł. Nawet wzmianki. Wystarczy mi świadomość, że ludzie będą błogosławić nieznanego pomysłodawcę.

A o co chodzi? W naszym domu wymienią się sieć elektryczną. Stare przewody nie wytrzymują już napięcia. Jest to dom budowany przed wojną, solidny, mocny, o którym Niemcy pisali w przewodnikach: „Das moderne Haus”. I w tym domu od dwóch tygodni robotnicy kuja mur od rana do wieczora. Mur są zdrowe, cegła zdrowa, więc i kucie słychać wszędzie. I nie chodzi mi o ten (konieczny) hałas. I o kucie.

Tylko zadaje sobie pytanie. Co to będzie jeżeli zajdzie konieczność wymiany przewodów w którymś z nowych bloków? Czy od pierwszego uderzenia młotkiem nie rozsypie się cały dom?

Więc proponuję: może by panowie architektki i konstruktorzy pomyśleli nad tym, aby wszelkie przewody tak instalować, żeby w przyszłości nie zachodziła potrzeba burzenia murów. Czy nie można przeprowadzić przewodów specjalnymi kanałami? Czy to takie trudne i skomplikowane?

Architektów przedwojennych winić nie można. Oni nie byli tacy mądrzy.

ALE KINO!

W woj. łódzkim mamy dokładnie 41 kin stałych. Nie jest to znów tak wiele, jeśli zważymy, że na prowincji trudno znaleźć inną rozrywkę, że teatr przyjeżdża rzadko, że dzięki zespoły „rozrywkowe” (na szczęście!) też.

Ale nie o to chodzi. Interesują nas w tym wypadku tylko nazwy. Większość kin nosi zatem nazwy związane z daną miejscowością. Nikogo tu nie zdziwi, że w Nowym Mieście nad Pilicą kino nazywa się „Pilica”, że w wyzwolonym 19 stycznia Kutnie znajdziemy nazwę „19 Stycznia”, że w Łowiczu jest „Bzura”, a w Tomaszowie Maz. „Mazowsze”...

Osobną kategorię stanowią nazwy zawodowe — a więc „Hutnik” w Piotrkowie, „Rolnik” w Szadku, „Metalowiec” w Radomsku, „Kłacz” w Zduńskiej Woli czy w ogóle „Robotnik” w Pałaniach. Są jeszcze nazwy, które trudno uzasadnić, jak np. „Gdańsk” w Rawie Maz., czy „Nysa” w Sieradzu lub choćby „Hel” w Zduńskiej Woli.

Jest poza tym nieco „Jedności” i „Przyjaźni”, trochę „Spójni”, i „Przyszłości” — są to nazwy banalne i nie budzą większych zastrzeżeń. Lecz np. w takim Żelazowie wymyślono sobie „Lotos”, w Piotrkowie natomiast „Czary”. Brzmi to wdzieranie i X Muza na pewno czuje się tu lepiej niż w gromkiej „Energii” czy „Strażnicy”.

Poza tym w nazwach znać hierarchię. Małe kino Praszka ma „Zwycięstwo”, ale powiatowe Brzeziny już łacińską „Victorie”. Łęczyska ma „Olimpie”, Kozłuski „Odeon” — a w małym Złoczewie znaleźliśmy „Strzecha”.

Tak więc nazwy są różne — banalne i pomysłowe, bardziej uzasadnione i mniej... brak tylko, o radości! zupełnie bzdurnych i nonsensownych. Niby mała rzecz, a cieszy.

Redaguje Zespół z Wydawca „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 24-79 — Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,— kwartalnie zł 12,— Redakcja nie zamawia kopii rękopisów nie zwraca Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirid 17 Zam. 346, I, 63, K-4

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



JANUSZ KUBICKI — ukończył w 1956 roku Państwową Wyższą Szkołę Aktorską w Łodzi. W tymże roku rozpoczął pracę w Teatrze Nowym, gdzie gra do dnia dzisiejszego. W swej dotychczasowej karierze teatralnej kreuje z dużym powodzeniem przeważnie postacie „czarnych charakterów”. Chętnie zobaczylibyśmy go w roli „pozytywnego bohatera”.

Odnosił sukcesy jako Happy — w „Śmierci komiwojażera”, Mackie Majcher — w „Operze za trzy grosze”, Karol Grober — w „Skandalu w Hellbergu”, Fred — w „Ladacznicy z zasadami”, Bugała — w „Człowieku z głową”.

Znany go również z filmu z krótkich epizodów, a z radia — z udziału w słuchowiskach i audycjach satyrycznych.

Wspomnieć również należy, że występuje w teatryku Karuzeli „50 krzesel”.

Tekst i zdjęcia GERARD PUCIATO.

Książkom mróz nie szkodzi

Pisaliśmy rok temu o pałonię bibliotecznym przy ul. Srodkowej. Zacytujemy odpowiedni fragment: „W tej chwili wszystko wskazuje na to, że Biblioteka nieprędko będzie czynna” i dalej „Zbudowano pawilon biblieczny i bagatelka, zapomniano podłączyć światło i uruchomić centralne ogrzewanie”.

Wstyd powiedzieć — po

roku sytuacja jest identyczna. Inwestycja kosztująca ponad 700 tysięcy złotych okazała się bzdurą. Nieodpowiednie, wadliwe instalacje sprawiły, że w Bibliotece „chłodem dmucha”.

„Książkom mróz nie szkodzi” — oświadczył z rozbrajającą szczerością inżynier Nowak z Łódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Budowlanych nr 3. Jeśli już pominiemy nawet fakt, że jednak wbrew pozorom szkodzi, i to zarówno pracownikom Biblioteki jak i ewentualnym czytelnikom — tego rodzaju stanowisko, wyrażone przecież publicznie, musi budzić duże wątpliwości. Od miesiąca Biblioteka jest zamknięta. Nowe, wielkie osiedle im. Władysława Bytomskiego pozbawione zostało placówki jakże niezbędnej dla każdego kulturalnego człowieka. Jak długo będzie trwała ta sytuacja? Inż. Nowak twierdzi, że... do maja. W maju podobno wszystko się załatwi. Istotnie, w maju nie będzie mrozów.

Spróbujmy ustalić kto tu ponosi winę. Czy architekt, który wykonał projekt, który nadający się raczej na kawiarnię w klimacie podziemnym, czy wykonawca?

Otóż winnych nie ma. Po prostu nie ma. Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych ma ponosić odpowiedzialność, kto sparał projekt i realizację. Ale... coś się nam widzi, że odpowiedzialność za ten skandal, odbijana będzie w nieskończoność między DBOR, Miastem, projektem a Łódzkim Przedsiębiorstwem Robót Budowlanych. Książkom przeczec mróz nie szkodzi. J.W.



FILANTROP

W 1897 roku powstał w Warszawie projekt budowy pomnika Adama Mickiewicza.

W związku z tym zawiązał się komitet honorowy budowy, w którego skład weszli znakomici mężowie stanu, uczeni, literaci, no i finansisci polscy. Działania swe komitet rozpoczął od ogólnonarodowej zbiórki (funduszy) na budowę pomnika.

Do Łodzi przyjechała z ramienia owego komitetu delegacja, której zadaniem polegało na tym, aby i w Łodzi zawiązał się miejscowy komitet i rozpoczęła się zbiórka na rzecz budowy pomnika.

Delegacja postanowiła zwrócić się do miejscowych potentatów finansowych o zadeklarowanie większych funduszy. Przedstawiciele delegacji zjawili się u znającego przemysłowca Juliusza Heinza. Zaproszono go, żeby złożył indywidualną ofiarę na budowę pomnika.

Heinzel po zastanowieniu się orzekł, że chętnie da datkę, a jeśli się przekona w swych aktach, że Mickiewicz był odbiorcą jego wyrobów bawlnianych — to pošle murarza żeby zrobił cokolwiek do pomnika.

NZK i DUP

W nakładzie 550 egzemplarzy, opracowana przez Filmowe Biuro Techniczne, wydana przez Naczelny Zarząd Kinetografii, ukazała się ostatnio tzw. norma resortowa „Słownictwo technologiczne w produkcji filmowej — określenia i pojęcia”.

A CÉZ tam możem ciekawego wyczytać? O, bardzo wiele: ATELIER — pochodzące z francuskiego, nieściśle określenie hali zdjęciowej albo wytwórni filmowej.

BABY — patrz statyw „baby”.

CZĘŚĆ ROZPOZNAWCZA — odcinek części czołowej lub końcowej, służący do rozpoznania aktu.

DN — skrótowe oznaczenie dupnegatywu.

DP — skrótowe oznaczenie duppozytywu.

DUPLIKATOWANIE — proces wytwarzania duppozytywu i dupnegatywu.

DUPLIKATY — ogólna nazwa duppozytywu i dupnegatywu.

FIKS — popularne określenie uchwytu do mocowania reflektora.

GALGEN — niewłaściwa nazwa wyczelki lub statywu mikrofonowego.

KADZ ZAPASOWA — zbiornik, w którym następuje przechowywanie świeżo przyrządzonych roztworów i roztworów zużytych.

KAPIEL PRZERYWAJĄCA — patrz przerywanie.

KONTRATYPOWANIE — patrz duplikatowanie.

KONCÓWKA — niewłaściwe określenie części końcowej aktu.

KOPIA DUPNEGATYWOWA — patrz dupnegatyw.

KÓŁKO — patrz pętla pkt. 3.

LIRA — patrz jarzmo.

LUSTRO — patrz zwierciadło.

METRAŻ EKRAŃOWY — ostateczna długość części tematycznej dzieła filmowego.

PLUSZOWANIE — czyszczenie materiału filmowego za pomocą pluszu.

SKROBACZKA — przyrząd do usuwania warstwy emulsyjnej z taśmy filmowej w miejscu sklejeń.

STOPKA — określenie niewłaściwe, patrz rozróżnienie przyrządów.

WTÓRNY DUPNEGATYW (drugiego i dalszych rzędów) — dupnegatyw wykonany z wtórnego dupnegatywu czarno-białego, lub barwnego, albo z duppozytywu barwnego wykonanego z dupnegatywu barwnego odwracalnego, lub internegatywu.

WYTWÓRNIA FILMOWA — nazwa przedsiębiorstwa dysponującego określonym personelem, pomieszczeniami, urządzeniami i ew. terenem, dzięki czemu może ono świadczyć grupom zdjęciowym usługi niezbędne dla wyprodukowania dzieła filmowego, albo samo produkować filmy.

Przepraszamy za niedyskretność, ujawniliśmy bowiem rzecz przeznaczoną do użytku wewnętrznego. Ale uczyniliśmy to w dobrej wierze. Bo jeżeli dotychczas widzowie i krytycy mieli jakies pretensje do polskich filmów, to teraz — znany — przyczyną nie było — normy — (resortowej).